

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 29 LISTOPADA 1930 ROKU

NR. 48

TREŚĆ NUMERU: Powstanie Listopadowe—*Herminja Naglerowa*. Najtragiczniejsza wielkość w Polsce—*Natalja Jastrzębska*. Poezja: „Listopad”—*Hanna Mortkowiczówna*. Poblask sławy—*Felicja Kruszevska*. Dzie-wica-Bohater—*P. L. Czarna pani—Zofja Miszevska*. Opiekunki Sybiru—*Adam Czartkowski*. Panna z ula-nami—*Jadwiga Kiewnarska*. Jaskółki wolności—*Aura Wyleżyńska*. Emigracyjna mogiła—*Dr. M. Kasterska*. Powstanie Listopadowe a sztuka polska—*l. j.* Epizody nocy listopadowej. Z książek—*S. P. O., H. N. i Z. M.* Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Na popołudnie—*Well*. Dodatek powieściowy: „Diagno-za” (dok.) — *Edith Wharton*. Arkusz wzorów.

Sto lat dziś mija od pamiętnej nocy listopadowej, kiedy to na ulicach Warszawy rozległ się okrzyk podchorążych: „Polacy, do bronii!”.

Historja w ciągu wieku zważyła ciężar gatunkowy faktów, osądziła ludzi i czyny, ustaliła przyczy-nowy rozwój wypadków, wykreśliła głębokie perspektywy dziejowe. Krew wsiąkła w ziemię, a ludzie — w legendę i poezję. Jakże szybko narastała ona wokół niektórych postaci, inne mijając obojętnie. Ordon Mickiewicz chwalebnie uśmiercił na rolskiej reducie; Piotr Wysocki, Łukasiński, Chłopicki czekać musieli aż na Wyspiańskiego. Inni czekają jeszcze.

Ale jakże ich twarze duchowe, przeglądające się w mętnej zwierciadle stulecia, bliskie są nam, zna-jome i bratnie! Znajome, pomimo przepaści lat, jaka nas od nich dzieli; bliskie, pomimo wielkości heroicz-nej ich czynów; bratnie, choć zmienił się w nas układ tych samych pierwiastków psychicznych, które dojrzały w nich pod ciśnieniem wyższego nakazu. Ale postawa nasza wobec zagadnienia niepodległości nie zmieniła się ani na jotę, nie odchyliła się ani o włos od tego pionu, który był dla nich, jak pion kru-cyfiks, jedyną drogą do zbamienia ojczyzny.

Rasa ludzi listopadowych nie wymarła wśród nas, choć bohaterowie powstania albo legli na placu boju śmiercią walecznych, albo zmarli po długim, nieraz od śmierci cięższym i niemniej od niej heroicz-nym żywocie, opromienionym niezłomną wiarą w przysze zwycięstwo — wiarą, która sama jedna mu-siała starczyć na długie lata więzienia, wygnania, tułactwa i poniewierki.

Nie wygasła wśród nas rasa ludzi listopadowych! Mamy prawo być z tego dumni. Jesteśmy kością z ich kości, duchem z ich ducha. Każde nowe pokolenie brało chrzest krwi i święte namaszczenie en-tuzjazmu. Płomień, który ich zapalił do czynu, goreje i w naszych żyłach; wicher, który ich porwał na wyżyny bohaterstwa i poświęcenia, i nam szumi we włosach, i nas trawi tęsknota wielkości, którą oni prze-żyli, zaspokoiłi i przewyżczyli.

Ale o ileż ci Prometeusze niepodległości przerastają swym tragizmem nas, szczęśliwych wybrańców historii! My, „urodzeni w niemoli, okuci w pomociu”, karmieni od dzieciństwa zakonspirowanemi marze-niami o wolności i potędze, powitaliśmy niepodległość, jako dar, nam należny, jako zadośćuczynienie za półtora wieku krzywdy, jako prosty wymiar sprawiedliwości. To się nam należało, nie tylko za nasze wal-ki, ale i za myśliki tamtych, co tylekroć napróżno chwytałi za broń w rozpaczonym odruchu.

A oni? Wychowani w świeżych jeszcze wspomnieniach państwowości własnej, niektórzy z nich dobrze ją pamiętający, czuli, jak wróg im na szyjach dociska obrożę i nie czekając, aż obroża w pętlę się zamieni, targnęli więzami tak mocno, że zachwiała się „korona Chrobrych” na głowie „syna Wasilowego”, północ-nego cara, który ją „ukradł i zakrmarzył”.

A potem cóż? Klęska. To jeszcze mało. Zwycięzeni bywają przecież zwycięzcami. Ale świadomość triumfu bezprawia, świadomość własnej bezsilności wobec przemocy — to było piekło, w którym męczeni-cy popowstaniowi, owo „pół rycerzy żywych”, cierpieli najcięższe katusze. Bohaterstwo ich opromienia wieczna chwała, imiona ich, otoczone czcią, żyją w sercach potomnych, rany zagoiła śmierć-mybawicielka, ból pozostał nienagrodzony radością. I to jest właśnie ta żalosna spuścizna, za którą my, szczęśliwi spadko-biercy, nigdy nie będziemy mogli im się odplacić. Tylko mocne postanowienie wcielenia w życie ich ideałów może choć w części uiścić dług, wobec nich przez nas moralnie zaciągnięty.

Więc dzisiaj, kiedy po brukach Warszawy w uroczystym pochodzie zatętnią znów kroki podcho-rążych — podchorążych wolnej i niepodległej Polski — uchyłmy czoła przed tamtymi, którzy, jak powie-dział Mochacki o Wysockim: „mieli genjusz w własnym sercu — myśleli, czując. Rozumem ich była mi-łość Ojczyzny”. Miłość tak wielka i szlachetna, że kazała im na sztandarach wypisać hasło, godne pierwszych chrześcijan:

— Za naszą i waszą wolność!

HERMINJA NAGLEROWA.

POWSTANIE LISTOPADOWE

Dziś, kiedy przesunął się nasz punkt widzenia, kiedy niepotrzebny już jest motyw krytyki samego czynu powstańczego i kiedy inne, bardziej realne wysnuwamy wnioski z naszych dziejów porzbiorywych — musimy stwierdzić, że rewolucja listopadowa była koniecznym następstwem tego, co się działo w Królestwie Kongresowem, co się działo w Europie.

Kongres wiedeński, porządkujący Europę po wojnach napoleońskich, posługiwał się zasadą legitymizmu, jako reakcją przeciw Rewolucji. Wykreślając natomiast nowe granice państwom, Kongres niejako uznawał konieczność przemian politycznych. Uznawał też potrzebę zreformowania ustrojów. Ten trzeci punkt był jednak nieszczerą ostentacją liberalizmu i konstytucjonalizmu monarchów. Ujawniło się to w teatralnej pozie Świętego Przymierza, które humanitarnymi frazesami chciało nawracać zrewolucjonizowane umysły ludów.

Już to samo, że realizatorem zasad Świętego Przymierza był Metternich, wskazywało na obłudne intencje rządów. I dlatego wszystko, co na wierzch wyrzuciła Wielka Rewolucja, co poczynano się już

krystalizować w zagadnienia — polityczne, społeczne, a zwłaszcza narodowościowe — musiało się skryć „pod ziemię“, aby drogą tajnych spisków i międzynarodowych porozumień podważać dzieło Kongresu Wiedeńskiego.

Sejsmograf polityczny znaczył więc coraz to inne ogniska wstrząsów: Hiszpanja (1820), Grecja (1821 — aż do odzyskania niepodległości w r. 1829), rewolucja we Francji (lipiec 1830), rewolucja w Belgii (1830), rewolucja w Królestwie Kongresowem (29 listopada 1830). Absolutyzm i ucisk narodowy — oto dwie twierdze, w które uderzał gniew ludów i pośpieszny, niecierpliwy czyn spiskowych.

A rodzina spiskowych była liczna. Skupiała się w grupy i związki od Atlantyku po Ural. Zbierała krzywdy, obliczała je tajnie, aby je w odpowiednim momencie przetworzyć na broń odwetu. Kiedy Grecja odzyskała niepodległość, entuzjazm ludów zamykał oczy na zbyt grubą i wyraźną grę polityczną. Widziano w tym nadzwyczajnym fakcie raczej manifestacyjne potwierdzenie ideałów wolności.

Narody nie giną; państwa, jak feniks, powstają z popiołów; ludy wyzwalają się z pod jarzma absolutyzmu! Temi pewnikami uzbrajano swoją wolę, łamaną już wszędzie systematyczną reakcją rządów. Jednakże dnia 26 lipca 1830 roku Paryż narósł barykadami. Burboni zostali obaleni, tym razem na zawsze. Europa mogła się łudzić, że znowu z Francji idzie burza, która zmiecie trony. Opinia Europy była przeciw przygotowana. Głowy i serca gorzały romantyzmem, nowy rytm słowa i pieśni zdawał się Tyrteuszowy. Zapewne — i miękka czułość była potrzebna tym wojownikom o sprawy człowieka, zapewne — i pamięć o cierpieniu narodów. Porozumiewano się tajnym znakiem masońskim, czy węglarskim, międzynarodowym gestem spisków.

Jednakże rewolucja lipcowa, której podłoże było społeczno-polityczne, nie miała tej siły odśrodkowej, jaką posiadała Wielka Rewolucja. Rządy pokongresowe czuwały zresztą, a car Mikołaj, ów synonim absolutyzmu „z łaski bożej“, szykował się odrazu do marszu na Paryż. W tym właśnie momencie, który zdawał się już rozpalać w nową wielką wojnę europejską — wybucha powstanie w Warszawie.

Motywy wybuchu były w istocie dwojakie: walka z caratem o wolność i przeciwdziałanie owemu marszowi na Paryż. Stąd też znaczenie wybuchu Powstania Listopadowego wykracza poza krąg sprawy lokalnej i staje się sprawą europejską. W samym początku akcji Powstanie Listopadowe wydaje się ra-



Piotr Wysocki.
(ze zbiorów Muzeum Narodowego — fot. Jan Ryś)

czej buntem wojskowym. W Szkole Podchorążych, w koszarach przygotowywał się ten odruch przeciw mikołajewskiemu régime'owi. To właśnie wojsko polskie wyznaczyło moment wybuchu, właśnie wojsko rejestrowało czujnie wypadki europejskie.

Spółceństwo było nieprzygotowane, wydarzenia wieczoru 29 listopada wywołały zdumienie i jakby popłoch. Ale chociaż nie wybuchł w porę pożar na Solcu, który nakształt pradawnych wici miał oznajmić o wojnie z caratem, wojna ta była popularna — podświadomie. I kiedy w ten wieczór listopadowy Podchorążowie maszerowali przez miasto, na chwilę jakby samotni, przez żadnego z wyższych wojskowych nie wsparci, kiedy tak szli przez ulice, wołając: „Polacy, do broni!“ — lud Warszawy uświadomił sobie odrazu, że okrzyku tego oczekiwano w każdej wieczór i w każdy poranek.

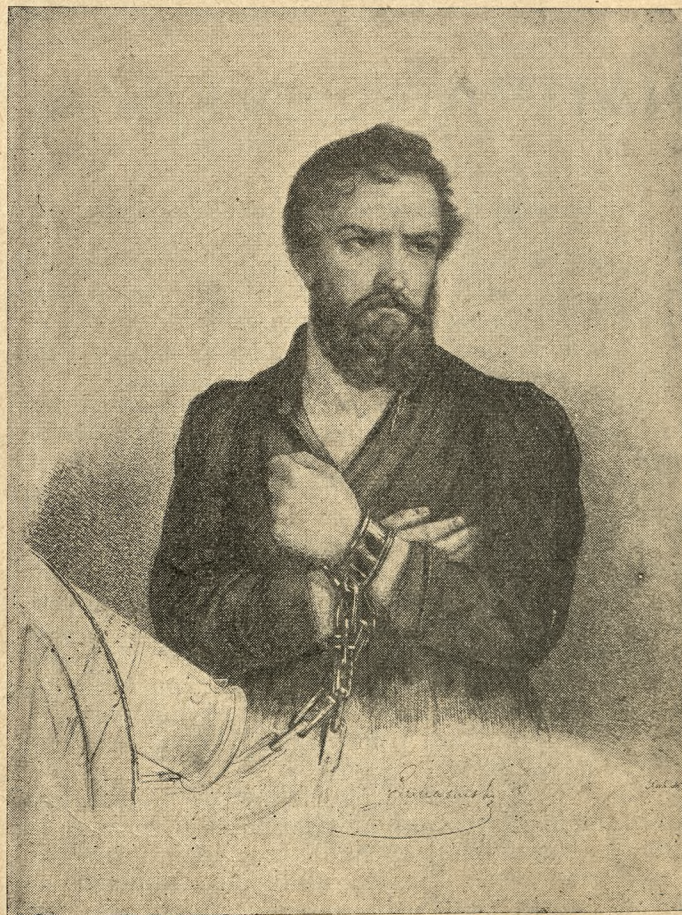
Mimo to pierwsze dni powstania robią wrażenie chaosu. Niezdecydowanie szło z góry, przejętej duchem lojalności i obawą, że entuzjazmem nie można się przeciwstawić sile materialnej Rosji. „Mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił!“ wydawało się tym z góry bufonadą, albo ładną, poetyczną zwrotką. Trzeba było właśnie tej siły żywiołowej, nieobliczonej i nie dającej się już stłumić, tej siły nienazwanej i dotąd niezbadanej, która pchała wszystkich: lojalnych i zbuntowanych, trwożliwych i ryzykantów, biernych i rozplomionych. Ta siła właśnie narzuca dyktaturę Chłopickiemu, czyni z Towarzystwa Patrijotycznego płonący wulkan, a z Sejmu, na krótki czas przynajmniej, jednomyślny zespół, który detronizuje Mikołaja.

Błędy? — Oczywiście popełniano ich więcej, niż by należało. Popełniono ich zawiele. Niezatrzymanie Konstantego, kunktatorstwo Chłopickiego, dwulicowość Lelewela, ambicje osobiste, a zapewne i nieudolność wielu nadto ambitnych — to już stwierdzone błędy. Było ich może jeszcze więcej, lecz napewno sam wybuch powstania był koniecznością dziejową. Ale i tak, ale i mimo błędów wojna roku 1830 i 1831 jest czemś niebywałem, czemś zadziwiającem. Zlokalizowało ją désintéressement Europy: nikt przecież nie wspomógł walczącej Polski, tak, jak wspomóżono greków. Nie miała Polska Dardaneli, nie była w tym momencie atutem w politycznej grze. Hymn Delavigne'a, Polenlieder, „Czwartacy“ Mosera — oto niemal wszystko, co dała powstańczej Polsce Europa. O wielez więcej działał Helenofilizm, propagowany przez politykę Anglii i przez — kabotynizm Byrona!

Tymczasem jednak wojna już się toczyła. Grzmiały pod Stoczkiem armaty, zdobywano uparcie grochowską Olszynkę, liczono zwycięstwa pod Wielkim Dembem i Iganiami, na Litwie ruszyła się partyzantka, pod Ostrołęką — krwawa przegrana... Był to koniec maja roku 1831, więc pół roku trwała

już wojna powstańcza. Niewyczerpany rezerwuar rosyjski zasilił armję Paskiewicza, który miał naprawić niepowodzenia swojego poprzednika, właśnie na cholere zmarłego Dybicza. Sytuacja wojenna armji powstańczej była więc teraz wobec ogromnej przewagi sił nieprzyjacielskich i wobec energii nowego wodza rosyjskiego — coraz cięższa.

Jednocześnie ze strategicznymi niepowodzeniami powstania zaczyna się wysuwać inny element, posiadający wiele energii i woli działania. Jest to element polityczno-społeczny, zwący się demokratycznym. Właśnie oto z wybuchem powstania wyszedł „na ziemię“ i ujawnił swój tajny byt. W ogólnoeuropejskich przygotowaniach do rewolucji po Kongresie Wiedeńskim odgrywała demokracja bodajże przodującą rolę. Nic więc dziwnego, że w Królestwie Kongresowem powstanie stwarzało dla żywiołów rewolucyjno-demokratycznych teren odpowiedni. Momenty powstania przysparzały jakgdyby argumentów żywych i realnych, dowodzących bądź to opieszałości rządu, bądź też nieudolności wodzów. Niewątpliwie powodowano się też personalnymi animozjami i polityczną przynależnością osób, stojących u steru. Z takich źródeł szły właśnie ataki na Skrzyneckiego i częste następnie zmiany w naczelnem dowództwie.



Walery Łukasiński.
(ze zbiorów Muzeum Narodowego — fot. Jan Ryś).

Rewolucjoniści — w znaczeniu społeczno-politycznych przemian — zniecierpliwieni wypadkami wojennymi, zaczynają więc wysuwać swoje programy i nadawać tym programom znaczenie naczelnych haseł powstania. Równoczesność wojny i rewolucji wewnętrznej była jednak zbyt wielkim wysiłkiem dla narodu. Ostatnie miesiące powstania wykazują właśnie, że ta jednoczesność spowodowała raczej rozbieżność działań, rozrywała energję zbiorową, budziła wzajemną niechęć.

Wobec wzmoczonej siły wroga powstanie staowało u schyłku lata 1831, jako skłócony wewnętrznie obóz. Nie jednolity front, ale — stronnictwa, niezgodne ze sobą zarówno pod względem przekonań, jak pod względem planów strategicznych, podejmowały teraz wojnę z odświeżonemi zastępami armji Paskiewicza.

Ale i te wydarzenia, które szły po sobie na polach bitew i na szanach Warszawy, zadziwiają bohaterstwem, determinacją. Wojsko, które zaczęło powstanie bez wodza, walczyło do ostatniego momentu z tą samą żołnierską postawą i bodajże również bez wodza. Wystarczy przypomnieć obronę Woli, aby zrozumieć, że finał powstania miał to samo silne napięcie, co „pierwszy odruch“. I dlatego aż na emigrację ponieśli powstańcy świadomość wielkiego i — niedokończonego czynu. Został też i w narodzie, oddanym na pastwę mściwych rządów mikołajewskich, ten zachyn gotowości, to ciągle pogotowie, to natężenie słuchu, chwytającego szeptane słowo emisariusza.

Powstanie Listopadowe było bowiem już zapowiedzią tego, co się stało za dni naszych: faktu, że tylko żołnierz polski będzie twórcą naszej wolności.



NATALJA JASTRZEBSKA.

NAJTRAGICZNIJSZA WIELKOŚĆ W POLSCE

Tak określił Maurycego Mochnackiego jeden z historyków rewolucji listopadowej.

Życie tego człowieka jest samą istotą tragedji: zmagania się wielkiego ducha z łańcuchem przeciwności, którym związało go życie.

Prawdopodobnie także zmagania się ze sobą, ze swoim charakterem, czy metodą działania.

Bo prócz wielkich przeszkód zewnętrznych, musiało trybunowi rewolucji brakować jakiegoś ważnego nerwu czynu, jakiejs sprężyny psychicznej, która miernoty nieraz wynosi na stanowiska, a talenty stawia na wyżynach.

Mochnacki był więcej, niż talentem, ale tego nerwu szczęścia, czy umiejętności życiowej nie posiadał. W rewolucji umiał dojrzeć każdy błąd, przewidzieć każde niebezpieczeństwo, wskazać drogę w każdej trudnej chwili; umiał nadto swe głębokie, śmiałe, płodne myśli wyrazić z przedziwną harmonją i mocą; umiał wszystko, co było genialną teorią — nie potrafił tylko sam praktycznie i silnie teorii tej wprowadzić w życie.

Coś rwało się temu człowiekowi w rękach, kruszyło i łamało się wszystko, czego dotknął, co w życiu zamierzył. Najzdolniejszy słuchacz wydziału prawnego, najświetniejszy klasyk, ulubieniec Lindego, zostaje „na wieki“ wydalony z uniwersytetu, za... palenie fajki na ulicy.

Przepyszny stylista, genialny teoretyk romantyzmu nie może znaleźć miejsca w prasie, tępiąc pióro

na gospodarczych artykułach w „zbożowem“ piśmie „Izys polskiej“.

A gdy przychodzi okres triumfu, gdy artykułami w „Młodej Polsce“ i „Kurjerze Polskim“ burzy Mochnacki twierdzą klasycyzmu, gdy potężnieje jego styl, iskrzy się nieporównany dowcip, gdy, jak mistyczne kwiaty, zakwitają teorie sztuki, filozofji, metafizyki, gdy imię jego widnieje na sztandarze walki o przyszłość, a wszystek rytm młodości Polski bije w takt jego serca — wtedy na dnie powodzenia czai się klęska największa, zaczyna się zasadniczy motyw tragedji: rozłam z podchorążymi.

I w noc listopadową, ten z ducha wódz rewolucji, którego rolą było ogłosić w ten wieczór rząd powstającej Polski. Mochnacki stoi pod arsenałem, jak każdy szeregowiec, walczący karabinem o sprawę powstania. Ster rewolucji obejmuje... Rada Administracyjna.

Mochnacki nie rezygnuje. Wśród oburzenia na dwulicowość Rady, na brak wodza i pozostanie części wojsk polskich przy W. ks. Konstantym, rodzi się pierwszy czyn polityczny trybuna rewolucji.

Przeciw strupieszalej anarchji szlacheckiej, za pomocą hasłami prowadzącej naród w moc obcą, przeciw teroryzmowi nierozumu, nazwisk i stanowisk, zaśniedziałych w ugodzie, negujących moc narodu, wystąpi Mochnacki tak, że zadrży w posadach instytucja Rady Administracyjnej.

Ale on sam padnie, jak Samson, pod jej gruzami, pociągając za sobą swych przeciwników.

W dwa dni po entuzjastycznych wiecach triumfów, ten sam tłum, który niósł Mochnackiego na rękach, stawia dlań szubienicę.

Od śmierci fizycznej chroni go najzaciętszy przeciwnik, Lubecki, ale mu wzamian śmierć moralną obmyśla.

Żakowski pomysł karmelicki, który tylko jaskiniowca z epoki trzeciorzędu, jakim antropologicznie był Konstanty, mógł wprowadzić w błąd, staje się dokumentem, przez poważnych mężów stanu wytoczonym przeciw niewygodnemu rewolucjonście, który chciał powstanie robić na serjo, nie szanując godności carskich osobistych przyjaciół i ministrów.

Dokument ten staje się podstawą zamknięcia Mochnackiemu dostępu „do wszelkich urzędów“, choć jest już, mimo okazanej jej jawnie wzgardy, mianowany członkiem Rady Administracyjnej i choć niema urzędu i godności, którejby nie był ofiarował mu Lubecki, wzamian za... zgodę.

Towarzyszom spiskowcom, którzy, więzieni u Karmelitów, wydali nazwiska (między innymi i Mochnackiego), darowana zostaje za ofiarną służbę narodowi ich wina; przeciw Mochnackiemu, którego walenrodyczny utwór nikomu szkody nie przyczynił, feruje Lubecki infamję.

A w sześć miesięcy potem, ranny śmiertelnie w asekuracji armat pod Ostrołęką, rewolucjonista otrzymuje krzyż złoty wirtuti militari.

O, logiko walk politycznych polskich!

Podczas ostatniego aktu warszawskiej, przedostatniego życiowej tragedji, nie ustępuje Ananke, towarzysząca cieniem ledwie wracającemu do życia trybunowi.

Ciężko chory jeszcze, podejmuje Mochnacki działalność polityczną. Chce znaleźć wodza, aby ratował powstanie. Znajduje Krukowieckiego.

Oszukany i zdradzony, rzuca w twarz Krukowieckiemu jego odstępstwo, otrzymując wzamian od generała ostatni już, polski, wyrok śmierci.

Z rozkazu Krukowieckiego wyprowadzony na Wolę, „aby tam zginął od kuli moskiewskiej“, patrzy Mochnacki poraz ostatni na ściśniętą płomienną obręczą Warszawę — Jeruzalem swego polskiego serca.

Tak ją żegna.

Emigracja to już tylko śmiertelne pasowanie się z niemocą fizyczną i nędzą materialną. Mógłby wprawdzie zarobić krocie, wydając historję powstania po francusku i angielsku, ale pisać ją będzie po polsku, zdzierając siły nad sposobem jej wydania.

Złamany fizycznie i duchowo, w 30-tym roku życia, w najwyższym spotężnieniu talentu, „familjaryzuje się ze śmiercią“, widzi ją i czuje.

Przed samym skonem wracają reminiscencje wzlotów ducha najwcześniejszych, przemawia głos mistycyzmu. W rozmowach z towarzyszami chwil ostatnich opowiada umierający o tajemniczym z duchami obcowaniu, o ich wołaniach z za świata, dokąd przed nim odszedł najukochańszy brat. A te chwile ostatnie osładzają, usuwając od chorego skrajną nędzę, dawniejsi wrogowie polityczni, konserwatyści, gdy przyjaciele-demokraci nie wahają się rzucać oszczerstw, nawet na trumnę.

Patrząc na stosunek Mochnackiego do ówczesnego społeczeństwa, na to tragiczne zmaganie się politycznej myśli twórczej ze społeczną inercją, naiwnością, katastrofalnym niewyrobieniem politycznym i fałszywym romantyzmem, z niedołęstwem wodzów i analfabetyzmem polityków — dochodzimy do wniosku, że

największą tragedją Mochnackiego był czas, w którym żył i działał.

Wyjałowiona anarchją XVIII-go wieku, zhańbiona rozbiorami, zduszona przez Konstantego, była Polska w tym czasie organizmem słabym i sennym. Rozpoczęła dopiero letarg niewoli, ów ciemny był w krainie Plutona, mistrzowsko usymbolizowany przez Wyspiańskiego; tajemniczą, bolesną pracę ziarna, rozkładającego się pod ziemią, aby z rozkładu wytrysnął pędem wiosennej runi.

W takich chwilach za słabe są jednostki, nawet najgenjalniejsze; w takich chwilach wieley synowie narodu działają poto jedynie, aby mądrością i męstwem zajaśnić, stwierdzić, że letarg jest snem tylko, nie śmiercią — i zginąć.

W takiej chwili żył Maurycy Mochnacki. Czasy popowstaniowe zapłaciły rewolucjonście zapomnieniem, ale w godzinie odrodzenia ożyły wszystkie jego twórcze myśli. Pod jego hasłem — obowiązku każdego polaka do walki zbrojnej — szła młodzież do legjonów; jego wskazania: przeciwstawiania się europejskiej Polski azjatyckiej Rosji — wypełniali politycy, zaczęły mnożyć się biografje i wspomnienia. Imię Mochnackiego powraca z emigracji do wolnej ojczyzny.

I żyje w niej. Porównując z sytuacją dzisiejszą idee i koncepcje polityczne Mochnackiego, widzimy, jak wiele z nich jest aktualnych, jak wiele z nich dziś jeszcze stosować należy, i jak wiele weszło w czyn i ducha odrodzonego narodu.

Istota to zresztą hołdu i pamięci najtrwalsza, najpiękniejsza, choć niewidzialne kwiaty na samotną mogiłę w Auxerre, na garść prochów, „w straż nie oddanych kolumnowym czołom“.



Maurycy Mochnacki.

HANNA MORTKOWICZÓWNA.

LISTOPAD

Można oglądać codzien, na każdym spacerze,
Miejsca, znane tak dobrze, jak słowa piosenki;
Sobieskiego, co patrzy na rdzawe Łazienki,
Smukłe kolumny ganku w białym Belwederze.

To nie są tylko słowa, legendy, obrazki,
To czasami, jak rana niezgojona, boli...
Choć wiatr zamiótł już liśćmi cmentarzyk na Woli
I nowi, trzeźwi ludzie chodzą przez plac Saski.

Choć wspomnienia wygasły, wzruszenia są wtedy,
Wciąż powraca listopad — romantyczna pora.
I co rok schodzi wizja tamtego wieczora
Ponad miasto, spowite w jesienne powietrze.

Zatarty kształt przeszłości powstaje widomy;
Nieznany, wzniósł patos falą nas ogarnia.
Arsenał, Zamek, Fara — zamglona latarnia,
I te same uliczki, i te same domy.

Więc chociaż aureola już darono zagasła,
Choć trud niesławnych zwycięstwo jest gorzki i szary,
Znów zaczynamy tęsknić do prostego hasła,
Do uniesienia śmierci, do szczęścia ofiary.

Chcielibyśmy zakwitnąć podniosłe i krwawo
Różą wzlotów i męczeństwo, rozdarta od koleców;
Chcielibyśmy zapłonąć wraz z luną na Solcu
Nad romantyczną, daroną, porostańczą Warszawą!



FELICJA KRUSZEWSKA.

POBLASK SŁAWY

(Obraz XI utworu scenicznego p. t. „Wiatr“).

(Lazaret wojskowy. Na łóżku Mochnacki ranny. Za oknem otwartym letnie niebo błękitne. Przy łóżku Mochnackiego General, Adjutant, dwóch Młodych Oficerów).

GENERAL (czyta): „Aby cnota znalazła należną nagrodę, aby serce narodu pokrzepić wieścią o dzielności jego obrońców, podajemy do wiadomości publicznej, co następuje:

Maurycy Mochnacki, literat, znany ogółowi ze swych cennych pism, uniesiony szczerym zapalem, w chwili, gdy nieprzyjaciel wkroczył w granice Ojczyzny, rzuca pióro i, lubo nieobeznany z umiejętnością wojskową, za oręż chwytą. Żądającemu wniknąć w szeregi narodowe, Wódz Naczelny przysłał patent oficerski. Nie przyjmuje go Mochnacki i zaciąga się, jako prosty żołnierz, do 4-go pułku strzelców pieszych. Pod Grochowem, gdzie po raz pierwszy w ogniu się znalazł, dzielną konduktą zwraca na siebie uwagę kolegów i dowództwa. Z kontuzją i lekką raną wraca do Warszawy, a po skończonej kuracji, gdy ustała chwilowa nieczynność armji, wstępuje nanowo w szeregi wojskowe, już jako oficer, uważając, że może godnie nosić tę rangę, nabytą za cenę

krwi. Wymieniony Maurycy Mochnacki, porucznik, walczył w bitwach pod Okuniewem, Wawrem, Liwem, Długosiodłem, Prytyczą i pod Ostrołęką, gdzie najniebezpieczniej w obronie armat cztery ciężkie rany odebrał. W uznaniu męstwa i zasług Ojczyzna obdarza porucznika Maurycyego Mochnackiego krzyżem złotym cnoty wojskowej“.

Niech żyją waleczni!

OFICEROWIE: Niech żyją waleczni!

GENERAL (wręcza krzyż): Życzę szybkiego powrotu do sił, młodzieńcze. Siły męźnych potrzebne są dla Ojczyzny.

OFICEROWIE: Bywaj zdrów, kolego! Spotkamy się na polu chwały!

MOCHNACKI: Dziękuję.

(General i Oficerowie wychodzą).

MOCHNACKI (Zostaje sam. Podnosi na słabej dłoni swój krzyż. Patrzy, jak błyszczy w słońcu).

(Wejdzie do celki rannego Panna nadobna, Siostra-opiekunka, przesliczna, złotowłosa, słodka, Beziemienna).

SIOSTRA (radośnie): Słyszałam o radości, jaka pana spotkała, poruczniku. Żałuję, że nie mogłam tu

- być. Robiłam opatrunki na sali. Jakże się cieszę, jakże się cieszę ogromnie!
- MOCHNACKI: Dziękuję za tę radość, Siostrzo.
- SIOSTRA: Jak ślicznie ten krzyż połyska! To nie słońce oblewa jego ramiona: to promień sławy, którąś pan sobie, poruczniku, zasłużył, tam, w kurzawie armatniego prochu. O, jakże wy, rycerze, musicie kochać sławę!
- MOCHNACKI: Nie sława mnie tam powiodła. Rzecz o wiele mniej poetyczna: obowiązek. Nienawidzę prochu armatniego, jak nienawidzę wszelkiego nierozumu. Tylko, że inaczej nie można. Za winy pokoleń przeszłych, dla dobra pokoleń przyszłych, aby w czasach pracy, które nadejdą, nie potrzebował naród polski śnić o polskiej szabli, musimy przejść tę drogę. Gwałt niech się gwałtem odciśka, jak mówi chluba naszych poetów.
- SIOSTRA: Mickiewicz! Czytałam jego „Dziady”. O, jakie to piękne! Te duchy zlatujące, ta miłość szalona Gustawa. Ta śmierć. Jak nieczułą była jego kochanka!
- Pan jest przecie literatem. Co pan powie o „Dziadach”, poruczniku?
- MOCHNACKI: Wolę Konrada Wallenroda. Nie jako literat to mówię, jako człowiek.
- SIOSTRA: Czytałam także. O i tam — ta miłość Alfa i Aldony. Ta wieża, to światło w oknie, ta wierność. Prawda, jaka ta miłość poetyczna?
- MOCHNACKI: Tak bardzo poetyczna, że grzeszy przeciw poezji tego utworu.
- SIOSTRA: Nie rozumiem...
- MOCHNACKI: To nic. Nie staraj się tego rozumieć, Siostrzo.
- (kładzie krzyż na kołdrze)
- SIOSTRA: Jakże matka pana musi być dumna! Czy mogę... wziąć ten krzyż do rąk?
- MOCHNACKI (podaje): Proszę.
- SIOSTRA (podnosi krzyż w zachwycie): Tyle wart, a taki lekki!
- MOCHNACKI (wyciąga rękę).
- SIOSTRA (kładzie mu krzyż na dłoni).
- MOCHNACKI: To tylko nagroda za krew. Należy mi się jeszcze od Ojczyzny krzyż za moje myśli. Bój się, czy nie będzie za ciężki.
- SIOSTRA: Pan się zasepił, panie poruczniku. Tak nie można. Lekarz uważa, że potrzebny jest panu spokój, rozerwanie, że nie powinien pan tyle rozmyślać.
- MOCHNACKI: Lekarze mają słuszość. Gdyby chory się uzdrowił myślą, cóżby wtedy mieli do roboty?
- SIOSTRA: Pan jest teraz pod moją opieką, na kuracj.
- MOCHNACKI: Cóż zatem robić, żeby nie myśleć?
- SIOSTRA: Och, mój Boże! Taka byłam wzruszona, że zapomniałam zupełnie... Przecież ja przyniosłam panu książkę, nowy romans francuski. Kuzynka przysłała mi ją z Paryża przy sposobności.
- (podaje Mochnackiemu mały tomik o złoconych brzegach).
- MOCHNACKI: Ha, cóż! Dla zdrowia czytajmy romanse.
- SIOSTRA: Ja tu siądę pod oknem tymczasem. Gdyby pan czego zechciał, poruczniku, proszę mnie zawołać. Będę skubała szarpie. Spokojniej jakoś jest u nas od dni kilku w lazarecie.
- MOCHNACKI (przerzuca kartki. Po chwili unosi głowę, spogląda ku oknu).
- (Słońce pada na jasną głowę Bezimiennej, na loki, spływające z pod białego zawoju).
- SIOSTRA: Jak gorąco.
- (Zdejmuje chusteczkę z głowy. Zabłysła cała w słońcu. Spostrzegła, że patrzy na nią Mochnacki):
- O — ale pan nie czyta, poruczniku!
- (usura się w cień)
- MOCHNACKI: Co to białego za oknem, Siostrzo?
- SIOSTRA: Jaśminy! Tak kwitną. Chcesz, przyniosę ci tych kwiatów, poruczniku?
- MOCHNACKI: Nie.
- SIOSTRA: Och, dlaczego?
- MOCHNACKI: Obawiam się, że dotknięcie kwiatów może zabołec, jak płomień.
- SIOSTRA: O nie. One są gładkie, kojące. Tak pachną. Idę po nie.
- MOCHNACKI (odprowadza ją oczami. Potem przerzuca kartki książki).
- SIOSTRA (wraca za chwilę zdyszana. Gałązki jaśminu, mstażką przewiazane, położyła na lokach jasnych):
- Żeby nie straciły chłodu od gorąca mojej ręki, przyniosłam je na włosach.
- MOCHNACKI: Niebo przyniosłaś w oczach.
- SIOSTRA (zarumieniona, spuszcza oczy).
- MOCHNACKI: Nie wiedziałem nigdy, że czyjeś oczy mogą być tak niebieskie.
- SIOSTRA: Nie patrzył pan nigdy uważnie w oczy kobiety, poruczniku.
- MOCHNACKI: Patrzyłem tylko w oczy mojej matki. Są zupełnie złote.
- SIOSTRA: Matka pańska musi bardzo kochać pana.
- MOCHNACKI: Tak.
- (unosi się trochę, żeby spojrzeć lepiej w oczy Bezimiennej. Przy tym ruchu książka zsuwa się z kołdry. Mochnacki schyla się z trudem)
- SIOSTRA (skoczyła. Podniosła książkę): O, pan upuścił romans, poruczniku.
- MOCHNACKI: Tak jest. Proszę go położyć na stoliku... Siostrzo.
- SIOSTRA: Nie trzeba było po niego się schylać. Pan jest słaby. Co się stało? Czy zabolalo pana?
- MOCHNACKI: Tak. Pomyślałem w tej chwili o romansie mojej młodości, Siostrzo.
- SIOSTRA: Ach, tak! Pan jest jeszcze taki młody... Pan pobladł? To musiał być bardzo nieszczęśliwy romans.
- MOCHNACKI: Do końca życia, póki w piersiach

tchu, póki w mózgu powstać może choćby jedna myśl, nie chciałbym mieć innego.

ADAM GUROWSKI (*ropada*): Witam bohatera!

MOCHNACKI: Wdzięczna to rola — bohater! A przecie trzeba przejść do mniej wdzięcznej roli pisarza. Siadaj! Będę ci dyktował, bo ręką jeszcze dobrze nie władam.

SIOSTRA (*z nagłymi łzami w głosie*): O, ja nie będę panom przeszkadzać!

MOCHNACKI (*daje ręką znak, że mu nic przeszkodzić nie może*).

GUROWSKI (*mydobywa papiery*).

SIOSTRA (*podeszła z wolna do okna. Podniosła rękę do skroni. Zdjęła wianek z włosów. Upuściła go za okno*).

MOCHNACKI (*dyktuje*): Tytuł: Być albo nie być.

(*Za oknem woddali mękot bębna. Słychać kroki przechodzących żołnierzy*).

DZIEWICA — BOHATER^{*)}

We wszystkich krajach Europy, kobieta bierze czynny udział w walkach o niepodległość i nie cofa się przed żadnym trudem i poświęceniem, godnym żołnierza. Tylko nie wszystkie zapamiętała historia, bo nie wszystkim z cichych bohaterek udało się dokonać czynów, któreby zaważyły na szali dziejów.

Tam, gdzie zwycięstwo przyświecało powstańcom, zapomniano rychło o roli, którą w walkach wolnościowych odegrała kobieta. Aureola bohaterstwa opromieniła jedynie postacie młodych niewiast, które w romantycznej fantazji przeżywały epopeję wielkich zdarzeń, a potem życie swoje krótkie ofiarowały dla idei, od dzieciństwa wyhodowanej w dziewczęcym sercu i wypieszczonej, jako marzenie o najwyższym szczęściu. Wiedziały, że swoją młodość poświęcają dla straconej sprawy, której nie mogło okupić od klęski ofiarne bohaterstwo i wielkoduszność uczestników insurekcji. Niezależnie od ostrzeżeń poważnych ludzi i statecznego otoczenia, romantyczna młodość niewieścia szukała w walce o wolność, jeśli nie ziszczenia życiowego ideału, to śmierci, jako wyzwolenia z pęt niewoli. Z historją powstania 1830 r. nierozdzielnie związane jest imię Emilji Plater, która, poza gorącym patriotyzmem, była uosobieniem urody, młodości i wdzięku. Gorący patriotyzm nakazał jej oddać dla dobra kraju wszystko to, co dla dobrze urodzonej panienci mogło stać się źródłem szczęścia osobistego.

Miłość dla narodu jest jej myślą przewodnią; dlatego nie chce wiedzieć o tem, że ma przepiękne, smukłe kształty dziewczęce, delikatny owal białej twarzyczki, oprawnej w puszyste loki Cherubina i oczy o błękitach polskiej niezabudki.

W domu Platerów, w majątku Liksna, na Litwie, panowała zawsze atmosfera wielkiego przywiązania do ziemi rodzinnej, poczucie godności narodowej i obowiązków dla ojczyzny. Prześladowania młodzieży wileńskiej i proces filaretów odbiły się smutnym echem o dwór Platerów. Był to rok, w którym po rewolucji lipcowej w Paryżu przygotowywano się w Polsce do powstania i w związku z insurekcją oczekiwano wielkich wydarzeń. Z zacisznego dworu w Inflantach, promieniował na lud białoruski silny duch Emilji, która umiała przeprowadzić swoje plany i sformować oddział kilku tysięcy zbrojnych ludzi. Potem na czele oddziału ruszyła w męskim przebraniu, w towarzystwie nieodstępnej przyjaciółki, panny Prószyńskiej, aby połączyć się z oddziałem innych ochotników.

Coraz większy jest ten zastęp kosynierów, strzel-

ców i jeźdźców, bo Emilja umie agitować, przemawiać i pobudzać do czynu. Szczęście dopisuje młodej dziewczynie i zdaje się jej, że zdobycie Dyneburga nie jest trudem ponad siły. Ale niebawem powstańcza rada wojenna uchwala dla każdego oddziału walki partyzanckie. Emilja i jej przyjaciółka przyłączają się do oddziału Załuskiego, który jednakże z niedowierzaniem i pewną pobłażliwą pogardą odnosi się do wątpliwych sił tych panienek-żołnierzy. Wtedy w posłannictwo Emilji uwierzą jeszcze „frejszyce wilkomierscy“, ci pierwsi, którzy piękną hrabiankę pasowali na rycerza.

Ale najszlachetniejsi z powstańców, młodzi zapaleńcy, podchorążowie i akademicy, nie wytrzymają naporu moskali. Porażka powstańców nie wróży już nic dobrego na przyszłość, nawet najbardziej ufni zaczynają tracić nadzieję. Kiedy pod Emilją, która narażała się na największe niebezpieczeństwa, zabito konia, młoda panienka zemdląca z wycieńczenia, a potem nie odzyskała już nigdy sił i zdrowia. Nie mogła nadażyć powstańcom w ukrywaniu się po lasach, więc zatrzymywała się po drodze i znajdowała serdeczną opiekę, zarówno w polskiej chacie, jak i szlacheckim dworze. Potem szukała znów oddziałów powstańczych, mimo, że zewsząd odsyłano ją do domu, jako chorą i wycieńczoną.

W sercu Emilji tlił jeszcze płomyk nadziei, że jeden tylko generał Chłapowski zdoła utrzymać gasnące na Litwie powstanie. Dlatego najcięższym przeżyciem była dla Emilji wiadomość, że Chłapowski, który z wojskiem przeszedł pruską granicę, pozwolił prusakom odebrać sobie broń. Ostatkiem sił Emilja znów organizuje swój oddział i wraz z Prószyńską i Raszanowiczówną szuka rozbitych na Litwie powstańców. Ale śmiertelna choroba nie pozwoliła jej już na przeprowadzenie ambitnych dążeń. Na łożu śmierci dowiedziała się o klęsce powstania w Królestwie i wtedy wygasła jej ostatnia nadzieja.

Tej, która „pragnęła być żołnierzem, póki Polska wolności nie odzyszcze“, nie było danem nawet umrzeć z nadzieją bliskiego odzyskania niepodległości narodu. Emilja Plater zgasła w grudniu 1831 roku, jako ideał gorącej patriotki.

Jej świetlana postać przeszła nie tylko do historii, ale i do poezji narodowej. Mickiewicz w „Śmierci pułkownika“, stworzył wzruszający obraz ostatnich chwil bohaterskiej dziewczyny.

P. L.

^{*)} Na okładce dajemy wizerunek Emilji Plater (ze zbiorów Muzeum Narodowego. Fot. Jan Rys).

ZOFJA MISZEWSKA.

CZARNA PANI*)

Legenda powstania listopadowego — jeden z najgłębszych i najpiękniejszych przejawów romantyzmu — opromienia wspomnienie dwóch postaci kobiecych, ściśle z nią związanych: Emilji Plater i Klaudyny Potockiej.

Odrębne były drogi, które doprowadziły te dwie niewiasty do pieśni i legendy; ale choć jedna doszła do nich poprzez huragan walk, druga zaś cichą, samarytańską pracą, w obydwóch rozkwita najpiękniejszy romantyzm serca i każe myśleć o nich ze wzruszeniem.

Ale czyż były one dwie tylko, osamotnione w dziejach poświęcenia? Historia notuje jeszcze kilka nazwisk kobiet wielkich duchem, które niewiadomo czemu skrył cień tych dwóch najgłośniejszych. I oto cicho o nich dzisiaj.

Do takich kobiet, rzadziej obecnie wspominanych, a jednak wybitnych działaczek w dobie powstania listopadowego, należy serdeczna przyjaciółka i współpracownica Klaudyny Potockiej — Emilja Szczaniecka.

Zupełnie pominiętą we wspomnieniach nie można jej nazwać, gdyż do dziś dnia cała Wielkopolska rozbrzmiewa kultem tej niewiasty, której wielkość powstała nie z czynów, zakrojonych na szeroką skalę, ale z drobnych cegiełek twórczej pracy. Zarówno małe, ciche wielkopolskie miasteczka — Strzelno, Śrem — jak dostojne, jaśniepańskie dwory — Pakosław, Zalesie, Borody — żyją jeszcze tradycją jej czynów i w lamusach pamiątek, w zakurzonych archiwach przeszłości chowają poźółkle karteluski z podpisem — Emilja Szczaniecka. Będzie to zawsze jakiś dar, jakaś fundacja szczerobliwej pani, jakiś dowód jej wszystko obejmującej pamięci.

Są to jednak ślady pracy jej lat dojrzałych i cichutkiej starości. Czyn jej młodości, najbujniejszy i najrozleglejszy, zamknęła w swych murach Warszawa i tu należy szukać śladów jej pierwszych poczynań.

Idą one najpierw od pałacu Łubieńskich do lazaretu na Woli, do byłych koszar Gwardji.

Bo Emilja Szczaniecka — podobnie, jak i Klaudyna — zaczęła od pracy samarytańskiej i przy niej do końca wytrwała. Napróżno szukalibyśmy jej pod Belwederem, gdy pożar na Solcu objął płomieniem serca warszawiaków, napróżno w pamiętny wieczór listopadowy w Łazienkach! W tych gorących chwilach młode dziewczę, jasna panienska ze dworu babki, starościny średzkiej, walczyła jeszcze z wrodzoną nieśmiałością, która w dziwnych powikłaniach psychologicznych stawiała wpoprzek jej pragnieniom czynu, i zcicha zazdrościła braciom — Konstantemu i Stanisławowi — udziału w powstaniu. Wieści od nich przychodziły nieczęste, ale zapierające oddech zapałem i żądzą walki. Niestety, wzruszenie trzeba było zaraz i koniecznie kryć przed czujną spostrzegawczością pruskiego landrata i, niby obojętnie, trwać wśród szarych dni, maskując zarówno niepokój, jak radość.

Nie można jednak było stłumić pragnień, rozpierających serce: Emilja uczy się pocichu opatrywania rannych i coś sobie układa w zdobnej lokami głowce. Zagraniczne, drezdeńskie wychowanie może niekiedy wzmocnić jeszcze miłość Ojczyzny, a romantycy niemieccy z łatwością dadzą się przełożyć na język liryki listopadowej.

Młodziutka Emilja jedzie do Warszawy, jakoby w celu odwiedzenia znajomych, i staje do pracy w lazaretach.

Ale w serduszku panienki, obok zapału i entuzjazmu, czai się lekki niepokój, co na to wszystko powie dość surowa babka. Idą listy — jakie, nie wiemy; wiemy natomiast, co energicznej wnuczce odpowiedziała pani starościna:

— „Gdybyś mnie była pytała o pozwolenie, jako babka, kochająca ciebie, musiałabym odmówić takowego; jako Polka, odczuwam Twą miłość dla Ojczyzny i dumną z Ciebie jestem“.

Tak oto zaczęła się praca Emilji, wśród huku dział, jęku konających, uporczywej walki o łóżka, o pożywienie dla rannych.

Bitwa pod Grochowem zapisała się krwawymi głoskami w jej sercu: na 200 łóżek w szpitalu, wniesiono 5000 rannych i konających... Emilja, po przejściu najgorszej nawałnicy, funduje szpital własnym sumptem, który nosi nazwę szpitala Poznańczyków.



Klaudyna Potocka.

*) Niniejszem składam serdeczne podziękowanie p. Irenie Stablewskiej z Zalesia, której uprzejmości zawdzięczam materiały do niniejszego szkicu.

Zmęczona, wyczerpana, zapada na grasującą wśród wojska cholere, i tylko dzięki opiece doktora Dworzaka i ukochanej przyjaciółki, Klaudyny Potockiej, przychodzi do zdrowia. Klaudyna była wogóle opatrnością dla Emilji. Po przyjeździe do Warszawy pierwsze swe kroki skierowała ku tej, znanej z dobrotliwego serca, Pani i odtąd związały się niewygasła przyjaźnią. Klaudyna, silniejsza i bardziej odporna, dodawała otuchy młodszej towarzysze w ciężkich, najcięższych chwilach, które się właśnie zbliżały. Pierwszym bolesnym etapem były dni 15 i 16 sierpnia 31 r., gdy Emilja z okna pałacu Łubieńskich musiała patrzeć na ohydę mordów, a potem z narażeniem życia, z pogodnym, jakgdyby nic, uśmiechem, ratować od śmierci rannego Zdzisława Zamoyskiego.

Tymczasem słońce powstania gasło powoli, aż wreszcie przyszła chwila wzięcia Warszawy przez rosjan. Rozgłośne bohaterstwo zamieniało się powoli w szary trud, mileżący, niewspaniały, ale wielki. Aby go osiągnąć, trzeba było przejść jeszcze jeden etap — ucieczkę ze stolicy.

General Witt, krewny Potockich, wystarał się o paszport dla 7 osób do Poznania. Jechała za nim Klaudyna Potocka, Wincenty Tyszkiewicz, jako jej plenipotent, Aleksander Potocki, jako urzędnik, Józef Tański, jako służący, ksiądz Jełowicki, jako kominiarz, Antoni Gole, wieśniak-kaleka, którego pani zabierała ze sobą, i Emilja Szczaniecka, przebrana za służącą, pod nazwiskiem Doroty Grossen.

Biedna Dorota kryła zapłakane oczy pod biały czepek służebnej i z rozpaczą żegnała ten niepowrotny już okres swego życia.

Droga uchodźców szła przez Modlin, wślad za cofającą się armją polską, gdyż panie chciały nieść pomoc rannym, których w ambulansach wieziono za armją. Po drodze spotykano triumfujące rosyjskie oddziały, zalegające już przedmieścia stolicy, zbyt, na szczęście, oszołomione powodzeniem, żeby zwracać



Emilja Szczaniecka.

uwagę na niewielką kawalkatę smutnych ludzi. Tylko już przy mijaniu ostatnich domów przedmieść jakiś żyd poczał ciskać kamieniami w karetę, gdzie siedziały obie niewiasty, i obrzucać je stekiem najokropniejszych wymysłów. Niewiadomo, jakby się to skończyło, gdyby nie jakiś uprzejmy oficer rosyjski, który wziął panie pod opiekę i eskortował aż do chwili, gdy posterunek niemiecki zakrzyknął swoje: wer da?

Sytuacja o tyle się zmieniła, że zamiast chamstwa rosyjskich żołnierzy, kobiety były narażone na wątpliwe uprzejmości junkrów, butnych i aroganckich. Nadomiar złego, Józef Tański zdradził nieopatrznie swe incognito i został w Toruniu aresztowany. Dopiero po licznych trudach zdołano go uwolnić.

Tak oto po przyjeździe do Poznania zaczęło się dla Emilji życie, pełne trosk i pracy. Za udział w powstaniu i za przewiezienie rannych, rząd niemiecki obłożył sekwestrem jej majątek i ją samą kazał aresztować. Została skazana na konfiskatę mienia i sześciomiesięczne więzienie. Na szczęście, „dobrotliwy“ Fryderyk Wilhelm III zwolnił ją od kary za pracę w lazaretach.

Tak więc, Emilja znowu zabrała się do czynu. Szedł on w dwóch kierunkach: praca popowstaniowa, polegająca na żywym kontakcie z Emigracją i ciągła podjazdowa walka z Niemcami. W tej dziedzinie wiele pomocnicę znalazła wśród pań wielkopolskich, ale najmiłszym jej współpracownikiem był bezwzględnie dr. Karol Marcinkowski. Legenda zadzierzgnęła między tych dwojgiem młodych nić miłości, ale przedziwnie subtelną i nieuchwytną. Wątek, jakgdyby powieściowy — miłość jaśnie-panienki do syna ludu — nie rozwinął się dalej. Milczą o tem stare papiery, niema listów z wynurzeniami. Może mógłby najwyżej coś powiedzieć stary dwór w Zalesiu, gdzie u szwagra swego, Karola Stalewskiego, spotykała się zapewne Emilja z Marcinkowskim.

Tajemnica jednak pozostała tajemnicą, a tradycja rodzinna mówi, że oboje chcieli żyć tylko dla Ojczyzny.

Po śmierci Marcinkowskiego Emilja trwała dalej na swem stanowisku, zakładając szpitale i stowarzyszenia społeczne. Danem jej było przeżyć jeszcze dwie klęski: 48 rok i — 65. Lata te zastały ją już, jako „Czarną Panią“, i taką pożegnały, zawsze czynną, choćby w małym kółku. Na szerszej arenie występowała jeszcze parokrotnie, po 31-tym roku, jako przewodnicząca deputacji polskiej u La Fayette'a i... wykradając biskupa Dunina z Berlina.

Oczy Emigracji zawsze były na nią zwrócone, ale, starzejąc się i słabnąc, nie chciała już brać udziału w życiu politycznym.

Cały swój wysiłek obróciła na walkę z Niemcami i tem nadewszystko była przejęta. Dowodzą tego choćby wyjątki z listów do ulubionej przyjaciółki — Bibjanny Moraczewskiej:

„Pakosław 9/II — 86.

Za daleko niemcy idą w swej nienawiści; sądzą, że są już panami świata, że wszystko mogą bezkarnie działać. Nie mają historii, inaczej by wiedzieli, że pierwszy krok, zrobiony na zły drodze, przyprowadza do upadku“.

A dalej w innym liście:

„Pakosław 4/3 — 86.

Go też te niemcy z nami dokazują! nie można czytać dzienników, żeby żółć się nie poruszyła.

Prusak i Moskal tak strunę wyciągnęli, że pęknąć musi“.

Bibjana Moraczewska, wraz z gronem pań wielkopolskich, była najbliższą współpracownicą Emilji Szczanieckiej, nigdy jednak nie mogła zastąpić przedwcześnie zmarłej Klaudyny. Emilja Szczaniecka nosiła na piersi medaljon z włosami ukochanej przyjaciółki i z nim też została pochowana.

Pogrzeb „Czarnej Pani“ zgromadził wielotysięczne tłumy, a skromna drewniana trumna tonęła w powodzi kwiatów.

Był to przecież maj, najpiękniejszy miesiąc w roku.

Emilja Szczaniecka umarła w r. 1896, a więc na długo jeszcze przed Niepodległością Polski.

Whuki jej, jednak, którzy doczekali tego szczęśliwego dnia, wspominają jeszcze z rozrzewnieniem życzenie, jakie ukochana „Businka“ powtarzała im przy każdej okazji rodzinnej:

— Życzę ci, abyś doczekał odrodzenia Polski.

ADAM CZARTKOWSKI.

OPIEKUNKI SYBIRU

Leży przedemną stara księga. Poopalone ma brzegi, żółkłe karty... Kobiecem pismem — aż trzech osób — zapełnione są one od góry do dołu...

Przerzucam je. Jedno za drugim — długim, długim szeregiem idą nazwiska.

Na pierwszej karcie:

„Adamezyk Tomasz, włościanin z Krakowskiego, za sprawę polityczną służy żołnierzem w inwalidzkiej komendzie w m. Bijsku w gubernji tumskiej... Zostawił żonę z dwojgiem dzieci“.

A poniżej dopisek:

„Umarł w Bijsku 1851 r., pełen był zacności i wytrwałości wzorowej“.

Na jednej z dalszych:

„Borowski Piotr z Zawodu Nerczyńskiego; ma tam swój dom i gospodarstwo. Nieszczęśliwy, mocno jest dotknięty śmiercią żony. Jest bardzo cierpiący. Byłoby wielką ulgą dla zbolełego serca, gdyby mu opisano ostatnie chwile zgonu jego żony i przysłano mu bagatelkę, która, że tak rzeknę, była świadkiem jej chwil ostatnich“.

Jeszcze dalej:

„Toliński Karol w gub. irkuckiej w okręgu werchondyńskim, syn generała w. polskich; rodziców w dzieciństwie stracił. Ludzie byli dostatni, teraz majątek skonfiskowany... Toliński jął się malarstwa, konie dzikie ujeżdża i z tego się utrzymuje“.

„Zarucki, z Królestwa Polskiego, był rządowym geometrą; wysłany w r. 1840 do Nerczyńskiego Zawodu, skazany do robót... Od kilku lat wyszedł na posilenie. żadnej pensji od rządu nie pobiera i żadnego wsparcia nie przyjmuje, bo uważa to za jakiś rodzaj jałmużny... Dotąd, t. j. do r. 1853, żadnej wiadomości od żony nie odebrał, ni od rodziny całej. Widać, że wszyscy pomarli“.

Przy wielu nazwiskach dopiski: „Dostał 2 koszule, 4 arszyny sukna“, lub „Różaniec z medalikiem i książkę do nabożeństwa“, lub „Książki z chemji, fizyki i mineralogji“, lub „Posłano mu rb. sr. 69 kop. 20“ i t. d., i t. d.

Rzadko przy którym czytamy: „Ułaskawiony do powrotu do kraju“, albo: „Wrócił do swoich“...

*) Dokument ten wielkiej wagi dochował się w archiwum Morawskich w Jurkowie w Poznańskim. Składam tu gorące podziękowanie p. min. Kajetanowi Dzierżykray-Morawskiemu za łaskawe udostępnienie mi go. W całości ogłoszę go na innym miejscu. Tam również przedstawię obszernie dzieje „Kaśy Ofiarnej“ dla zesłańców w latach 1840 — 1858 oraz podam obszerniejsze dane życiorysowe co do osób, które tę kasę utworzyły i prowadziły. Tymczasem wyrażam wdzięczność pp. Zdzisławowi hr. Grocholskiemu i Michałowi hr. Sobańskiemu za udzielenie fotografii z cennych portretów Ich Babek.

To spisy zesłańców politycznych z lat 1840 — 1858, którzy padli ofiarą swych dążeń patrijotycznych i srogich carskich wyroków *).

Układały je miękkie, ciepłe, wypieszczone ręce trzech kobiet o gorącym sercu i czystej duszy, które



Eliza z Zamoyskich Zenonowa Brzozowska.

nie zawahały się nieść pomocy swym cierpiącym, a zupełnie nieznanym braciom, chociaż były to czasy panowania jednego z najbezwzględniejszych despotów, który przecie bez żadnego skrupułu lub przeszkody mógł wyrzucić swą srogą zemstę na zniechęconych Polkach, mógł je za czyste dzieło chrześcijańskiego miłosierdzia pozbawić wolności, majątków, oderwać od rodziny i posłać tam, do tych, wspomaganych przez nie, również na cierpienia, tęsknotę dożywotnią.

Jednak było w dziele tych dobrych serc tyle siły moralnej, że nawet sam „pan samowładny świata połowicy“ nie śmiał im w ich zbożnej pracy przeszkadzać i musiał tolerować ją, udając, że o niczem nie wie.

Mogły przecie te wielkie panie zamknąć się w przepychu swych magnackich rezydencji, mogły przenieść się pod „szczęśliwe niebo krajów włoskich“, mogły wreszcie grzać się w promieniach łaski cesarskiej na dworze petersburskim. Tymczasem one wówczas, gdy najbliżsi nieraz zapominali zupełnie o sybirskich skazańcach, gdy żony opuszczały wygnanych mężów dla nowych wybrańców, gdy matki nawet niektóre nie znajdowały chwili na pomyślenie o dalekich synach, gdy bracia, w dostatkach żyjący, skapili rubla na wspomóżenie nieszczęśliwego zesłańca, a dłużnicy, na wolności pozostający, wzbraniłi się wypłacić osiedleńcowi jedyne funduszu, który mógł mu zapewnić najniezbędniejsze środki istnienia — one nieustannie myślały o setkach i tysiącach nieznanym sobie ludzi, myślały o wszystkich ich potrzebach materialnych i

moralnych, wyszukiwały ich w najodleglejszych zakątkach tajg i śnieżnych pustyń, docierały wszędzie, niosąc ulgę cielesną i pociechę duchową...

Pamiętnikarka, która przed półwiekiem miała możność przejrzeć dokumenty o działalności tych trzech pań, dokumenty, z pośród których do czasów obecnych dotrwała zaledwie jedna księga, wspomniana przezemnie na początku niniejszego artykułu — świadczy, że o niczem nie zapomniano. Ślano pieniądze, ubrania, bieliznę; ślano, nie pomijając potrzeb ciała, „i wszystko, co duszę karmi, a ducha pokrzepia“; ślano „drobnostki nawet, życie umilające: włóczki do robót kobiecych, nasiona ogrodnicze, tytoń, nuty, skrzypce, flety, farby, ołówki i wzory. W książkach największa różnorodność“ — dzieła filozoficzne i pobożne, pamiętniki Silvia Pellico i Dumasa „Monte Christo“, „Dla lekarza — sprawozdania ze szpitali francuskich; dla inżyniera — matematyczne dzieła. Dla chorego — szlafrok ciepły“. „Wszędzie obok hojności i bardziej od niej prześwieca przemysłowość serca, nawykłego myśleć o drugich z macierzyńską troskliwością“. Z macierzyńską troskliwością myślano też o tem, aby żonom kochającym dostarczyć środków i możności dotarcia do mężów, gdy, wyszedłszy z ciężkich robót, osiadali w wioskach sybirskich, jako zesłańcy. Ułatwiano podróż, obmyślano opiekę nad podróżnymi, ubezpieczano, jak było można, dalekie a tak trudne dla niewiast wyprawy.

A gdy w połączonych stadłach zaczynały przybywać dzieci, i o nich pamiętały troskliwe opiekunki Sybiru. Te, zrodzone wśród śniegów sybirskich istotki, uważały jakgdyby za wnuczęta swoje. Przysposabiały dla nich wyprawki, słały zabawki, a gdy dziatewa podrosła — otrzymywała elementarze i książki — wszystko, co było potrzebne do wychowania i wykształcenia.

Wiedząc, jak wielką dźwignią w nieszczęściu jest religia, jak wielce możność odprawiania praktyk religijnych według wyznania katolickiego broni polaka od wynarodowienia — wielkich wysiłków używały te dobre opiekunki zesłańców w celu zakładania i utrzymywania po rozmaitych większych ich skupieniach kaplic i kościołów katolickich w różnych punktach tak odległej krainy, oraz zapewnienia nieregularnej choćby opieki duszpasterskiej.

Trudno, zaiste, było czynić więcej w tych warunkach, w jakich działała ta „Kasa Ofiarna“ dla zesłańców.

Powstała ona koło 1840 r. i przetrwała do 1858. Pono działała znowu po 1863 r. Po tym drugim okresie jej istnienia nie mamy wszakże śladów, tak, że o tym pierwszym tymczasem tylko mówić mogę.

Powstała ona dzięki dobrym sercom patriotycznych polek, na południowo-wschodnich kresach dawnej Rzeczypospolitej zamieszkałych, i w tej głównej krainie rozwijała swą działalność. Tu mieszkają trzy jej filary, stąd też głównie płynęły środki materialne.

Jedna z gorących patriotek kresowych, panna Bołumowska, otrzymała pewnego dnia list od kogoś ze znajomych, do Nerczyńska zesłanego, z opisem nędzy, jaką cierpią przebywający w tem miejscu kaźni. Będąc niezamożną i nie mogąc sama nieść pomocy, list ten dostarczyła panna Bołumowska pani Róży z Łubieńskich Ludwikowej Sobańskiej z Wasylówki na Podolu, ta zaś przesłała go swej przyjaciółce od serca, pani Ksawerze z Brzozowskich Henrykowej Grocholskiej z Putniczan — i ze wzruszenia, które objęło prawdziwie czule serca tych kobiet, zrodziła się



Róża z Łubieńskich Ludwikowa Sobańska.

myśl zorganizowania stałej pomocy dla nieszczęśliwych sybiraków.

Nawiązano bezpośrednią korespondencję z Nerczyńskiem, skąd w odpowiedzi otrzymano wskazówki co do innych miejscowości, i potoczyła się kula śnieżna od jednego skupienia zesłańców do drugiego. Każda miejscowość wybierała stałego korespondenta — i na jego to ręce szły z Kasy Ofiarnej listy, pieniądze, przesyłki w naturze, „a wszystko dochodziło wiernie do przeznaczonego celu“. Korespondenci zaś regularnie składali sprawozdania Kasie — ściśle podając, kto i gdzie ile pieniędzy i jakie rzeczy otrzymał.

Początkowo — od założenia do 1846 r. — Kasę Ofiarną prowadziła głównie pani Ksawera Grocholska. Ona to, chcąc zabezpieczyć działalność, napisała prywatny list do Mikołaja I, przedstawiając w nim swój zamiar i prosząc o upoważnienie do zrealizowania go. Ona to też, acz na ten list żadnej nigdy nie otrzymała odpowiedzi, ze zwykłą swemu charakterowi przedsiębiorczością rozwinęła energiczną działalność w celu zgromadzenia niezbędnych środków. Dość powiedzieć, że — jak podaje ks. arcybiskup Feliński na zasadzie znanych mu rachunków — w ciągu dwóch lat (od 1 kwietnia 1843 do 1 kwietnia 1845) wysłano z Kasy na Sybir 5513 rubli srebrnych gotówką i rzeczy w naturze za 1413 rb. sr., nie licząc bardzo dużej partji rozmaitych przedmiotów, zgromadzonych drogą zbiórki wśród znajomych, sąsiadów i przyjaciół. Jeśli się zważy, że rubel srebrny równał się 4 rb. as., będącym wówczas w obiegu, i że siła kupcza tegoż rb. as., szczególnie na Syberji, była znacznie wyższa od rb. sr. w czasach, które my jeszcze pamiętamy — to dopiero wtenczas zupełnie jasno uprzytomnimy sobie rozmiary akcji pani Ksawery.

Zmuszona wyjechać z kraju dla kształcenia dzieci w 1846 r., przekazała p. Grocholska Kasę Ofiarną swej bratowej — p. Elizie z Zamoyskich Zenonowej Brzozowskiej z Sokołówki, która prowadziła ją przez dwa lata — do 1848 r., t. j. do czasu, kiedy choroba ją od tego żoźnego dzieła oderwała. W tym czasie obejmuje Kasę p. Róża Sobańska. „Weź Sybir, moja Różiu!“ — błagała ją o to pani Ksawera w liście z dn. 1 marca 1848 r. Wzięła tedy na swe barki tę jeszcze jedną pracę i poprowadziła ją sama do powrotu przyjaciółki w 1854 r., a z nią razem do końca 1858 r.

Pani Róża Sobańska знаła z własnego życia niepokój o bliskich i na własne oczy widziała nędzę zesłańców. Gdy w 1826 r. mąż jej za udział w Związku Narodowym i stosunki z dekabrystami został aresztowany, a potem wywieziony do kazamatów twierdzy Piotra i Pawła w Petersburgu, sama musiała zabiegać o najmniejsze ulgi dla niego; gdy zaś wkrótce po uwolnieniu ponownie został wywieziony w 1831 r., towarzyszyła mu na zesłaniu do dalekiego Permu. Wówczas to widziała pędzonych od etapu do etapu, okutych w kajdany, wynędzniałych, żartych przez robactwo, jeńców polskich w drodze na Syberję, a wśród nich kuzyna swego, Romana Sanguszkę. Już wówczas czyniła, co mogła, by ulżyć cierpiącym — teraz zaś oddała się tej pracy z taką gorliwością i z takim sercem, że zasłynęła wśród licznych rzesz sybirackich pod najpiękniejszym imieniem: „Róża wygnańców“.

I nic dziwnego, że Rufin Piotrowski, znany ze sławnej ucieczki z Syberji, spotkawszy w Paryżu



Ksawera z Brzozowskich Henrykowna Grocholska.

w 1850 r. panią Ksawerę, rzucił się jej do nóg, wołając wśród łkania: „To matka nasza najlitościwsza, najmiłosierniejsza!“ — i nic dziwnego, że Bronisław Zaleski w liście swym z Orenburga z dn. 18 marca 1852 r. do pani Róży Sobańskiej woła z głębi serca:

„Jakiej to dobroci potrzeba, żeby z niezmordowaną czułością, jak pszczołka, wyszukiwać wszędzie tego, co nas interesować mogło... Uczuciem siostry wcieliłaś się już całkiem w życie nasze i sercem chciałaś objąć wszystkie, aż najdrobniejsze nici, wiążące nas z ziemią, a zewsząd coś słodkiego nam przynieść. Dzięki ci, dobra siostrzo!“

I nic dziwnego, że w chwili, gdy wspominamy bohaterskich dziadów naszych, co z bronią w rękę stanęli do nierównej walki z carską przemocą — wspomnieć musimy o tych ich rówieśniczkach, co w okropnych latach międzypowstaniowego okresu swymi dobrymi sercami, swymi miękkimi, ciepłymi dłońmi koili cierpienia tych, co niezłomnie dotrwali przy swym sztandarze, pomimo kajdan, ciężkich robót i osiedleńczych tęsknot.

I cisną się nam na usta jeszcze inne słowa Bronisława Zaleskiego z listu do „Róży wygnańców“:

„Doprawdy, jesteście mi wzorem czynnej, ewangelicznej miłości! Myśląc o Was, o życiu Waszem, tak pięknym, poświęconem jedynej ukochanej idei, którą z Krzyża Zbawiciela zdjęłyście, mimowoli łzą rozrzewnienia zachodzi oko i usta błogosławieństwa szepcą.“

A z Zygmuntem Sierakowskim, który również ich opieki doznał, musimy dodać:

„Imiona Wasze należą do historii“.



JADWIGA KIEWNARSKA.

PANNA Z UŁANAMI

Inflanty, Ziemie Wileńskie i Żmudź, mocą najeźdźcy od Macierzy Polskiej oddarte, nigdy nie przestały tęsknić, burzyć się w duchu, a wierzyć, że przyjdzie godzina cudu, krwawej zemsty i szczęsnego bratnich ziem połączenia. Taki był testament wierzeń, przekazywany z ojców na dzieci; taki duch, zda się, z mlekiem matek przez niemowlęta wyssany.

Wierzono i czekano.

Serca młodzieży były, jak suchodrzew puszczy litewskich, w których lada iskra wielki pożar roznieca.

W takich to konjunkturach upływało dzieciństwo panny Antosi Tomaszewskiej, z rodziców benenati et possessionati, w Rosieńskim, na Żmudzi w roku 1814 zrodzonej. O Ojczyźnie, na trzy części rozdartej i w kajdany zakutej, słyszała od maleńkości. Mówili o niej rodzice, i krewni, i stary rezydent-weteran, co, pod znakiem „Napoliona“ walcząc, krzyża Legji i nogi drewnianej się dosłużył. Płakały i modliły się o Ojczyzny wybawienie Siostry-benedyktynki w Krozach, gdzie panna, płci swojej potrzebne, pobierała nauki.

Dzieckiem małym, niejednego bestjalstwa, niejednej przemocy była świadkiem. W płomiennem oburzeniu z całego serca wzywa godziny odwetu.

Lat szesnastu zaledwie dobiegała, jesienią roku 1830, gdy gazetki, przez księdza dominikanina Jasińskiego przemycane, przynosić jęły wieści dziwne, zapowiadające sercom polskim niechybne, co najserdeczniejszych pragnień, ziszczenie. Dochodziły słuchy radosne i wnet cichły, ostrożnym ludzi doświadczonych kunktatorstwem gaszone. Nie śmiano wierzyć. A potem szły całe tygodnie głuche, bez wieści żadnych, złych, ni dobrych.

Grafianka Emilja z Liksny, ksiądz Jasiński i Juliś Gruzewski z Kielna, Antolki współpowietnik, nagłą pasją jazdy zdjęci, rozjeżdżali od powiatu do powiatu, niby to chęcią sąsiedzkiego z swojakami obcowania się eksplikując. Powiadano, że grafianka Emilja, panna gustów niepowszednich, w taktyce wojennej od starego napoleończyka Muraszki, a ostatnio od oficyjerów dyneburskiego garnizonu uczona, na polską Joannę d'Arc się sposobi i na wypadek popolitego ruszenia, z bronią w ręku wystąpić zamierza. Gorzały na te wieści rumiane policzki Antolki. Matce, ciotkom, na respekcie w domu państwa Tomaszewskich przebywającym, i ksieni wielebnej z Kroź zwierzała się kolejno, że i ona pragnęłaby, bodaj jako zwykły żołnierz, ku chwale Ojczyzny służyć.

Lecz choć patryjotyzm i ofiarność w domu zacnych państwa Tomaszewskich były wielkie, na wieść o młodego dziewczątka determinacji załamała siwa pani białe dłonie i lzy gorzkie ronić zaczęła. A chude, jak

tyki, panny respektowe w milczącym zgorszeniu porozwierały usta i, słowa wymówić nie mogąc, kiwały jeno wtył i wprzód szpakowatemi głowami. A ksieni wielebna, osoba wielkich cnót i bardzo już sędziwa, zdumiona wielce, jakby nie pojmując, powtarzała raz po raz:

— Jakżeż tak można, duszeczko? Jakżeż tak można?...

Skrzyczał pannę ojciec, wyśmieli stryjeczni bracia, a że się rezolutnie stawiała, niejednym dzień pod kluczem o chlebie i wodzie wysiedzieć jej wypadło. Zmilkła więc i krzepiła się w sobie.

A kiedy w marcu do klasztoru w Krozach doszedł słuch o tem, jak to Juliś Gruzewski — ten sam, co to w gimnazjum krożańskim nauki pobierając, mur klasztorny przesadzał i z jabłoni do panien się zalecał — bezcenny zbiór starych monet sprzedawszy, własnym sumptem setkę jazdy wystawił, na czele okolicznej szlachty na Rosienie wyruszył i tam wraz z Kalinowskim i Ignacym Staniewiczem rząd tymczasowy tworzy — nie mogła już panna dłużej zdzierżyć. A tu wieści nadchodziły wciąż nowe. O tem, jak Platerówna, włosy uciawszy i hajdawerki przywdzawszy, w Dusiatkach powstanie czyni i dowódcą wojska się mianuje. Jak księżna Kunegunda z Platerów Ogińska, co to ongi dzieliła z mężem trudy z pod Moskwy odwrotu, do ponownego towarzyszenia małżonkowi się szykuje. A wreszcie, o Marysi Raszanowiczównie, mało co od Antolki starszej, niedawnej Kroź wychowance, jak samowtór z Błażkiem-palestrantem, wykradłszy stryjowi-rejentowi króciwą i dwie szerpentyny, z Lucyna się wymknęła i do powstańców przystała.

Na nic się zdały perswazje i molestacje, na nic zakazy i groźby. Nie upilnowano zadziernostej dziewczyny. Nie dość wysoki był mur klasztorny. Zbyt dobrze znała Antolka rodzinną okolicę, aby do powstańczego obozu trafić nie umiała.

Panna młoda i do tego wielce urodna, przy obozowym ognisku — widok to niepowszedni. Wielka zapanowała w obozie radość. Nie wiedzieli, co więcej podziwiać mają: czy bohaterski zapal klasztornej wychowanki, czy jej wielkie, błękitne oczęta i policzki, krągłe a rumiane. Wyprzedzano się wzajem w dwornych komplementach, radosne ku jej czci wydawano okrzyki.

Lecz nie było pannie po zachwytach. Dowódcą się każe meldować i żąda konia i broni. Dowódcą tym był Gruzewski, pannę od dziecka znający. Zdziwił się wielce i wszelkich próbował perswazyj, aby dziewczynę od niebezpiecznej determinacji odwieść.



Antonina Tomaszewska.

Nic jednak nie wskórał, musiał ustąpić i żądaniom rezolutnej panny zadość uczynić.

Na własne panny żądanie wcielono ją do oddziału jazdy. W dni parę nauczyła się musztry i robienia lanca negorzej, niż jej towarzysze. Odtąd służy, jako prosty żołnierz, pod rozkazami Gruźewskiego, odziana w mundur, od stóp do głów zbrojna, w sztylet za pasem ukryty zaopatrzona na wypadek, gdyby po wpadnięciu w ręce wroga cnota jej zagrożoną być miała. Mógłby kto myśleć, iż cnota w życiu obozowym i od swoich nie całkiem była bezpieczna. Lecz ten, coby tak myślał, nie znalazłby chyba dobroduszej poczciwości kresowej i tego krewieńskiego ducha, łączącego tamtejsze rody i ludzi. Toż byli wszyscy ci, co tam w lasach z najeźdźcą walczyli, dziećmi tej samej ziemi, z rodów od wielu wieków na tem samem miejscu osiadłych, węzłami dozgonnej przyjaźni i wielokrotnego powinowactwa z sobą powiązanych. Każdy wiedział o drugim „kto zacz, kto go rodzi“, wszyscy byli jedną wielką rodziną.

Dlatego też panny wielkiego wdzięku i urody, jak Platerówna ze swą wierną Anetką Prószyńską, Raszanowiczówna, czy Tomaszewska, nie miały nigdy pożałować swej śmiałej rezolucji, gdyż każdemu — czy to z dowódców, czy żołnierzy — drogie były, jak dzieci własne, a święte, jak siostry.

W niejednej brała Antolka udział potyczce, zawsze szczęśliwie bez szwanku wychodząc, choć się nie szczędziła, a przeciwnie, naprzód parła, towarzyszy swym przykładem rozgrzewając. Szczególnie odzna-

czyła się panna w świetnej szarzy na dzikich kirasjerów czerkieskich, następujących groźnie na tyły polskiej armji. Na rozkaz Chłapowskiego, skoczyła Antolka w pierwszym szeregu, z oczyma błyszczącymi, twarzą rozplamioną gniewem i męstwem. Porrywający rycerzyk, dziecko i kobieta zarazem! Tak się dobrze sprawiła, iż sam Chłapowski i Giełgud podziwiać musieli panny bohaterstwo, a wracając po zwycięskiej szarzy, powitało ją gromkie „hurra!“ całego wojska. Potem, pod Powendyniami zdobyła sobie Antolka szlify podporucznika. Wielka to była radość.

Lecz czasy były smutne. Swary generałów zgubiły dobrą sprawę. Wojsko polskie odstępowało. Barbarzyński rozkaz spalania furgonów ambulansowych wydał rannych na łup wroga, który się nad nimi znęcał, zarówno z wrodzonej dzikości, jak dla zastraszającego przykładu. Każdy, kto udzielił powstańcom posiłku, czy gościny, narażał się na śmierć straszliwą. Wojna, mająca przynieść ziemiom zaniemeńskim wolność, skąpała je w krwi i pożodze i w cięższe jeszcze wydała jarzmo.

W smutnych tych dniach odwrotu i klęski, klęcząc po ostępach, grzęznąc w moczarach, głodując — szemrali wszyscy. Tylko panna-ulań nie skarżyła się nigdy, nie narzekała, mężczyznom dodawała otuchy, robiąc im na lepszą przyszłość nadzieję. Podziwiać ją musieli, gdyż mdła ta białogłowa, z mlekiem, zda się, pod nosem nieobeschłem, tak znosiła trudy życia obozowego, jakby ją ze dwadzieścia lat wojny zahartowało. A to był duch tak hartowny.

Kiedy wreszcie wszystkie stracono nadzieje, kiedy w haniebnym dniu 13 lipca padł od kuli powstańca-desperata nieudolny Giełgud, a Chłapowski wraz z wojskiem przekroczył granicę pruską — przeszła do Prus i Antolka w szeregach generała Rolanda, osłaniających odwrót armji powstańczej.

Uroda panny, historia przygód jej młodego, a bujnego żywota powszechną budziły ciekawość i uznanie. Wszędzie następczo jej się z opieką i gościna. Zarówno polacy, jak prusacy, nie mogli się dość nadziwić tej młodzieńczej, a urodziwej dziewczynie, która sobie szlify podporucznika ułańską lanca zdobyła.

Znalazł się też i oficer polski, który, cnotą i męstwem panny wielce zachwycony, na ślubny kołnierze ją poprowadził.

„Obowiązki żony i matki złagodziły zapewne cierpienia tej duszy patryjotycznej, a płomiennej“ — dodaje kronikarz. Zapewne. Natura tak hartowna nie mogła na długo się poddać rozpaczce bezsilnej, a bezpłodnej. Nie mogąc dalej służyć Polsce orężem, służyła jej cichem życiem dobrej żony i matki patryjotów.

Ale i to jest pewne, że był to jedynie żywot rezygnacji. Nad młodością jej zaciężył sen straszliwie piękny, a krwawy. Sen zbyt wspaniały i straszny, aby po przebudzeniu mogła się kiedykolwiek czuć zupełnie szczęśliwą i spokojną.

AURA WYLEŻYŃSKA.

JASKOŁKI WOLNOŚCI

Wojska polskie zbliżały się do granicy pruskiej w porządku i głębokim milczeniu. Idą kompanje za kompanjami, pułki i dywizje, idą konie, ciągną furgony. Na granicy zatrzymuje je obca władza:

Stój, składaj broń!

Składają broń, lance, karabiny, pałasze. Stos rośnie, coraz większy się tworzy, pogrzeb żywej, kochanej broni. Czasem na zimne żelazo łąza gorąca spada, częściej tylko smutny uśmiech pożegnania.

Jedni wracają do kraju, inni do kraju wracać nie chcą. Do Francji! Pieszko, dyliżansem, ekstrakpocztą. Są o kilka godzin od Polski, a pytają o drogę do Francji. Idą do niej przez Niemcy w długim, triumfalnym pochodzie. Stała się bowiem rzecz dziwna i w historii nieznaną: zwyciężeni idą, jak triumfatorzy. Lud niemiecki, zarówno jak monarchowie niemieccy, witają żołnierzy polskich, jako rycerzy wolności, a poeci wiersze na ich cześć składają. Objawy sympatii są powszechne, co budzi w emigracji wiarę w swe siły i niezwyciężoność dobrej sprawy.

Wśród dobrowolnych wychodźców (blisko pięć tysięcy ludzi) byli członkowie ostatniego sejmku, była arystokracja i szlachta, wodzowie armji i jej oficerowie, uczeni i literaci, więc nie emigracja jakiejś partji, ale czoło narodu, co w nim najpiękniejsze, najlepsze. To też stali się oni dla Europy żywym protestem przeciw przemocy. Mieli słowa buntu na ustach, a w sercu wiarę w przyszłość.

Główne wrota, przez które pielgrzymi polscy wchodzili do Francji, to były Strasburg i Metz. Z drżeniem przekraczali polacy granicę. Witali ziemię francuską, jak drugą swą ojczyznę, pełni tradycyj wspólnych z nią walk i węzłów duchowych, łączących przez całe stulecia dwa narody.

W pewne popołudnie października 1831 roku, rojną i gwarną rue du Faubourg Montmartre, szedł młody człowiek w czamarcie — nieznanym tu stroju — z ręką na temblaku. Rozglądał się wokoło, jak ktoś, drogi i stosunków nieświadom. Żądny wrażeń ludek paryski najpierw z ciekawością się do

niego zbliżył. Gdy dowiedziano się, że jest polakiem, ciekawość zamieniła się w radość. Krzyknęli:

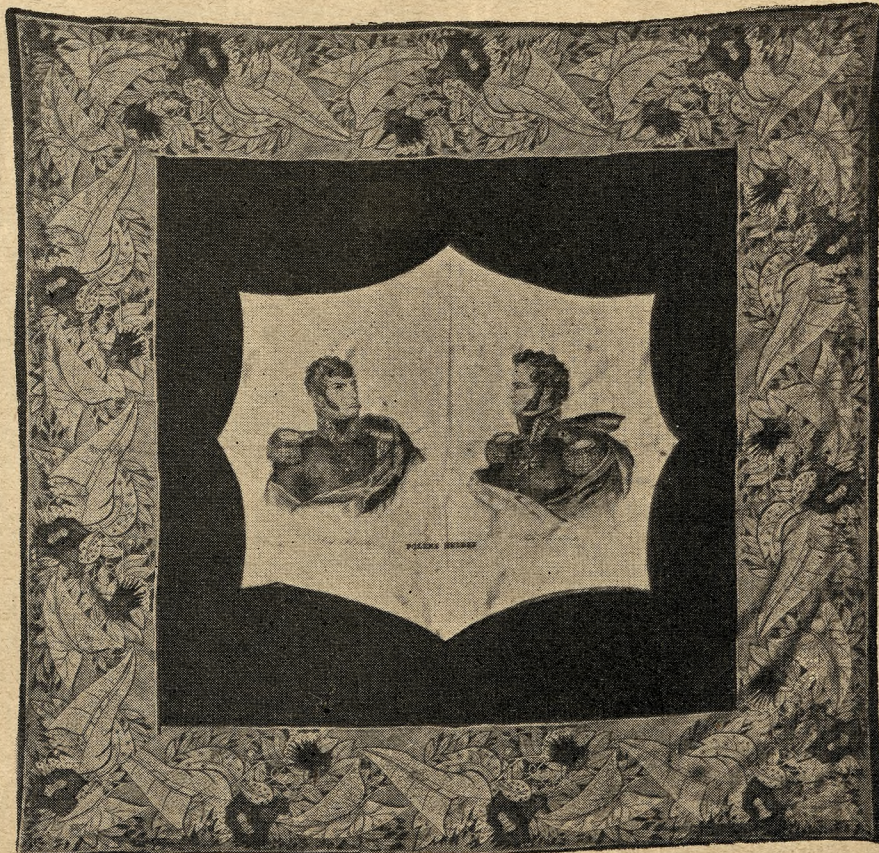
— Honneur à la Pologne!

Takie było pierwsze, entuzjastyczne powitanie emigracji polskiej na bruku paryskim. Sympatja ludności nie uległa zmianie, jakkolwiek rządy często jej na przeszkodzie stawały, idea niepodległości Polski przez długie lata zapalała umysły uczonych, artystów i robotników. Nazwano polaków „concitoyens” i poczuwano się do wspólności z nimi.

Narazie presja opinji publicznej była tak wielka, że rząd francuski musiał udzielić dobrowolnym wygnańcom opieki. Dotąd funkcjonował jedynie komitet francusko-polski, na czele jego stał La Fayette, wierny braterstwu broni z Kościuszką. Komitet mieścił się przy ulicy Taran, pod Nr. 12, otaczał opieką moralną i dawał wsparcie materialne (emigranci dostawali 2 fr. dziennie i 15 fr. miesięcznie na mieszkanie).

Emigranci polscy, niezrażeni zachowaniem się Francji wobec powstania, marzyli, iż po przybyciu do tego kraju stworzyć będą mogli legjony. Myśl ta trudna była do wykonania, choćby z tego względu, iż wśród wojska polskiego, które opuściło kraj, zaledwie jedna czwarta była żołnierzy, reszta oficerowie; ale to nie wydawało się być przeszkodą, tembardziej, że Francja tworzy „dépôts” w Besançon i w Avignon,

gdzie żyje się życiem koszarowem, odbywa się ćwiczenia i gotuje do walki. Gdy konjunktura polityczna wyklucza możliwość wojny Francji z Rosją, rząd proponuje naszym wojskom wstąpienie do Legji Cudzoziemskiej, żeby bić się przeciw Beduinom. Emigranci, „bohaterowie ducha czasu”, „apostołowie wolności”, z oburzeniem odrzucają ten projekt. Wobec tego uznano, iż „dépôts” tracą rację bytu; sytuacja pogarsza się, bo w tym czasie Izba deputowanych uchwaliła prawo t. zw. „loi d'Orloff”, odbierające swobodę ruchów, utrudniające przebywanie w Paryżu i oddające emigrantów pod wyłączną opiekę policji.



Chustka jedwabna z drukowanymi portretami Chłopickiego i Skrzyneckiego, wykonana w Dreźnie po upadku powstania. Napis niemiecki „Polen's Helden”.

Rząd francuski, chcąc się pozbyć niemiłego mu ducha buntu, stara się wyjednać u króla pruskiego i u cara amnestję dla polaków, ale nikt z tych łask i dobrodziejstw korzystać nie chce — emigranci protestują i grożą masowym wymarszem do Niemiec. Tego jednak nie uczynili, pozostali we Francji, jedynym krajem naprawdę im przychylnym, gdzie, jeśli nie sfery rządzące, to nieomal zawsze ludność była po ich stronie.

Doznane zawody rzucają Polaków w wir walk politycznych. Jedni, uprzejmymi słowy prosili gabinety o pomoc, inni upominali się, wołali o sprawiedliwość, zwracając się do opinii publicznej. Polska myśl rozszepiła się na różne kierunki i stąd potworzyły się partje polityczne, ważne przez to, że z nich wyszły wszystkie późniejsze polityczne partje — twórców naszych dzisiejszych stronnictw parlamentarnych szukać należy na emigracji. Oczywiście, że z chwilą, gdy cała uwaga została zwrócona w tym kierunku, emigranci przyszedli do wniosku, że nie wystarcza jedynie informować i pouczać Europę, co jej czynić należy, ale trzeba samym tu, na tułactwie, przygotować się do przyszłego wolnego życia w Ojczyźnie.

Rozpolitykowanie się emigracji miało tę złą stronę, że rzucało ludzi w wir walk wzajemnych.

W tem życiu, pełnem niepokoju i niepewności, w tym stanie ciągłego podniecenia i oczekiwania, zrozumiała jest jednak nastrój, jaki zapanował wśród wychodźców. Rozpoczęła się wojna na świstki i druki. Każdy bronił żarliwie swej sprawy, zwalczał wroga, każdy pisał.

Emigracja zalana była powodzią — efemeryd, które nikogo przekonać nie mogły, tylko jątrzyły sprawę. Sami emigranci czuli to zło. Raz w pewnym towarzystwie bawiono się tak, że każdy chwalił się, co w życiu najlepszego uczynił; jeden szlachcic rzecze:

— Ja oto od czterdziestu lat jestem na Emigracji, a nigdy żadnej broszury nie napisałem!...

Wiele bardzo o bruk paryski odbiło się „niewczesnych żalów, potępieńczych swarów“, ale też wiele najpiękniejszych myśli polskich tu się narodziło, aby lecieć do kraju, jako gońce dobrych wieści; aby, w czyn przyobleczone, lecieć w cały świat — „jaskółki wolności“.

Paryż.

DR. M. KASTERSKA.

EMIGRACYJNA MOGIŁA

Dzień 29 listopada i wogóle rocznica stuletnia Rewolucji listopadowej będzie prawie przez cały rok uroczyscie obchodzona w całej Polsce. Nie braknie zgromadzeń, mów, wspomnień, artykułów. Będzie i w Paryżu wielka wystawa z tego powodu. Chciałabym tu sformułować tylko bardzo skromne życzenie, aby, obchodząc rocznicę Rewolucji, wspomniano i o tych, którzy zrobili tę Rewolucję, walczyli i cierpieli za nią. Mogiły ich mają także prawo do naszej pamięci, a tyle tych mogił na cmentarzach całego świata! Tymczasem chcę pomówić jedynie o tych, które znajdują się w Paryżu, a specjalnie o jednej, tak bardzo bliskiej każdej kobiecie polskiej: o mogile zasłużonej wychowawczyni młodzieży żeńskiej, Klementyny z Tańskich Hofmanowej.

Klementyna ma prawo do naszej pamięci nie tylko jako pisarka. Była również dobrą Samarytanką podczas Rewolucji 1830 r. i zaraz prawie po wybuchu jej zatroskała się o stworzenie komitetu kobiecego, aby pomyśleć o potrzebach polskiego żołnierza. Przy pomocy równie czynnych i ofiarnych, jak ona, niewiast: generałowej Sowińskiej, generałowej Benigny Małachowskiej i wielu innych — zbierała niestrudzenie składki, biegła po szpitalach, odwiedzała i wspierała stare matki, ubogie żony i sieroty żołnierzy. Mecenas Aleksander Kraushar ogłosił niedawno wyjątki z regestrów tego Komitetu Polek, pisane aż do końca Rewolucji ręką Kleme-

tyny. A i potem, po wyjeździe na wygnanie, nie ustaje w pracy. Nie ma wiele, ale czem może, dzieli się z drugimi. Skromne jej mieszkanko w Passy — wówczas przedmieściu, dziś bardzo eleganckiej dzielnicy — pełne było zawsze Polaków i Polek, każdy znajdował tam serdeczne przyjęcie i pomoc, na jaką stać było biedną literatkę. Umarła w r. 1845, ogólnie szanowana i żalowana. Pochowano ją na cmentarzu Père-Lachaise, gdzie ma koncesję t. zw. „wieczną“ na grób i ładny pomnik, co zawdzięcza, jak sądzić należy z napisu francuskiego, ofiarności rodaków. Pomnik z brązu wyobraża popiersie Klementyny, wcale dobre: z ramion jej spływa rodzaj zasłony; tworząc niejako tło dla dwóch postaci dziewczynek, stojących poniżej, z których jedna trzyma książkę, druga wianek. Napis francuski brzmi:

Ici reposent les dépouilles mortelles de

Clémentine Tanska-Hofmann

Née à Varsovie le 25 novembre 1798,

morte à Passy le 21 septembre 1845.

Auteur de nombreux ouvrages dont la Pologne est fière.

Mieux encore que ses écrits, sa vie enseignait la vertu.

Femme pieuse, modeste, accomplie.

Elle mourut dans l'exil.

Ou l'avaient conduit son patriotisme et son dévouement d'épouse.

Monument élevé par la reconnaissance de ses compatriotes.

A poniżej rzewna prośba „o Zdrowaś Maryja” — jak na wiejskich cmentarzach u nas; dziwne wrażenie czyniąca wśród francuskiego cmentarza.

Otóż grób Klementyny z Tańskich Hofmanowej znajduje się obecnie w oplakany stanie. Niema komu myśleć o naprawie i oczyszczeniu polskich grobów na cmentarzach paryskich. Dawniej czynili to ostatni emigranci, ale ci dziś prawie wszyscy wymarli, a nowa Komisja Opieki nad Grobami zaczyna dopiero swą działalność i szuka środków na konieczne prace. Tymczasem części pomnika leżą w trawie, na deszczu i słońcu, marnując się coraz bardziej. Dziś stosunkowo niewiele potrzeba na odnowienie i zreperowanie grobu, ale, jeżeli dotychczasowy stan potrwa jeszcze z rok, zniszczenie będzie już nie do naprawienia. Sądzę, że zajęcie się tą sprawą należy do kobiet polskich. Prze-

cież tej, która, jak umiała i mogła, kochała kobiety polskie, swój kraj i pracę dla ojczyzny — należy się po śmierci mogiła, choć na obcej ziemi i nie wśród swoich.

Takich mogił opuszczonych jest wiele i może najpiękniejszym hołdem dla bojowników z 1830—1831 r. byłoby właśnie zatroszczenie się o ich smutne, dalekie groby. Ale skoro nie można zrobić od razu wszystkiego, możeby zacząć od najpilniejszego, to jest od grobu, co grozi zupełnym zniszczeniem — grobu kobiety, która ma swoją kartkę w naszej literaturze i w dziejach Rewolucji 1830 r.

Myszę, że tu już same czytelniczki „Bluszczu” zdobędą się na najużyteczniejszą inicjatywę, ale chciałabym dodać jeszcze, że jeżeli która z nich ma jakiś drogi grób wśród grobów paryskich z 1830 r., najchętniej jej służyć będę wiadomością o nim.

POWSTANIE LISTOPADOWE A SZTUKA POLSKA

Czem jest temat w obrazie? Sprawa ta jest dotąd niewyświetlona dostatecznie, a ujmowano ją w zasadzie w sposób nader powierzchowny. Przerzucono się tu z jednej ostateczności w drugą: dawniej rozważano dzieło sztuki tylko i jedynie z punktu widzenia „przedmiotu”, motywu fabularnego, który od-

zwierciedlało; ostatnio znów odrzuca się kwestję tematu, jako wogóle nieistotną, i traktuje się obraz, czy rzeźbę, tylko jako pewien zespół form i barw, starając się abstrahować całkowicie od tej rzeczywistości, z której musiały wziąć pewien asumpt. Dlaczego w pewnych epokach powtarzają się niemal bez zmia-



Wojciech Kossak: „Śmierć generała Sowińskiego”.



Maksymilian Gierymski: „Pochód ułanów“.

ny i stale, jakkolwiek różnie pod względem formalnym traktowane, „typy tematyczne“? Dlaczego najbardziej bujne i bogate zdarzenia pewnych okresów, które powinny, zdawałoby się, najbardziej zapłodnić fantazję plastyczną — są przez malarzy najwyraźniej pomijane, poprostu ignorowane?

Polscy artyści — to urodzeni bataliści. Koń, ukochany towarzysz człowieka w Polsce, sceny bitewne, husarja, waląca się, jak burza, czy wicher kolorowy ułanów — zawsze stanowiły ulubiony „sujet“ malarstwa polskiego. Nawet wówczas, gdy na Zachodzie wraz z impresjonizmem zwycięża tematycznie tylko „natura“, tylko „przestrzeń“, gdy następuje okres możliwej małomówności, niemal bezosobowości obrazów — u nas Chelmońscy, Fałaci — by wymienić tylko najwybitniejszych — nie umieją zrezygnować z pełnej temperamentu akcji na płótnie, w której ludzie i konie łączą się w braterstwie ruchu i zamaszystego gestu. Czy przemawia tu bezpośrednio głęboki instynkt rasy, czy może tylko znajduje ujście zdławiona tęsknota? Niewątpliwie i jedno i drugie, lecz fakt, że po odzyskaniu niepodległości procent obrazów batalistycznych zmniejszył się gwałtownie — przemawiałby raczej na korzyść drugiego przypuszczenia.

Skąd czerpią bataliści polscy tematy do swych kompozycji? Za ostatnią w ubiegłym stuleciu „wojnę polską“ należałoby uznać niewątpliwie walki listopadowe. W przeciwieństwie do insurekcji 63 r. mają one charakter raczej właśnie „normalnie wojenny“, anizeli powstańczy. Tu walczą dwa wojska w regularnych bitwach: wszakże Rząd Narodowy wystawia armję, liczącą 56 tysięcy wyćwiczonego żołnierza, która ma swe naturalne oparcie w stolicy kraju. Pod

Stoczkim, pod Wawrem, Iganiami, czy Grochowem, rozgrywają się najbardziej typowe „batalje“, gdzie wśród dymu armatniego pędzą konni adjutanci, odbywają się wspaniałe szarże kawaleryjskie, zdobywa się nieprzyjacielskie sztandary... I oto właśnie ta wojna polsko-rosyjska 1830 r. stanowi bodaj najrzadszy temat naszej batalistyki malarskiej. Podczas, gdy epopea napoleońska, bitwy ze szwedami, odległe dzieje walk krzyżackich, ba! i tatarskich, odzwierciedlane są niezliczone razy, zarówno przez najtęższych mistrzów, jak i przez skromnych rzemieślników palety, przez dyletantów i przez Matejków, Brandtów, Kosaków — można policzyć niemal na palcach większe obrazy, opierające się na tych wypadkach, wszakże chyba najbardziej organicznie związanych, najbliższych dla ludzi polskich ubiegłego stulecia.

Echo tych dni, które w poezji i muzyce polskiej brzmieć będzie, dopóki utrzyma się świadomość narodowa — w plastyce przebrzmiewa głucho i ubogo — milknie. Znamienny fakt: tragiczne, żalosne wypadki styczniowe determinują powstanie olbrzymiej ilości płócien, pobudzają najwyraźniej fantazję plastyczną, dają impuls „malarskiemu nurzaniu się w żalu“, jak to określa jeden z ówczesnych anonimowych recenzentów. Tak, Grottger i cała „grottgerowszczyzna“ — to jest niewątpliwie „nurzenie się w żalu“, transpozycja w farbę olejną — leż. Ciągłe podkreślanie upadku — beznadziejnego. Powstanie listopadowe było przegraną, ale przegraną z honorem. Dlatego mogło uzyskać dla siebie pomnik w spiżowych słowach „Reduty Ordonu“ i w chórze „zwycięstwa dumnych pań“, otaczających Pallas-Atene w „Nocy Listopadowej“. Dlaczego nie wystawiło mu takiego samego pomnika



„Utarczka”. Akwarela współczesna nieznanego autora, dotychczas nigdzie niereprodukowana. — Ze zbiorów państwa Al. N.

malarstwo polskie? Któż wie? Może kiedyś ktoś głębiej zbada psychologję twórczości plastycznej wogóle — i psychologję polskiej twórczości w szczególności.

Wiernym i sympatycznym malarzem Listopada jest Marcin Zaleski, właściwie utalentowany pejzażysta.

Nie pozostawił on prawie żadnych obrazów batalistycznych, lecz przeważnie związane z architekturą Warszawy uroczyste sceny w mieście, jak „Wprowadzenie jeńców i chorągwi, zdobytych przez wojsko polskie pod Wawrem i Dembem Wielkim” — przez ulicę Bednarską; albo wniesienie tych chorągwi na Zamek — albo „Wzięcie Arsenалу przez lud 29 listopada 1830 r.”; „General Chłopicki na czele pułków strzelców konnych gwardji na Krakowskim Przedmieściu”. Zaleski z naiwną powagą w traktowaniu przedmiotu łączy dużą świeżość „spojrzenia z góry” na swoje „pole akcji”, a przede wszystkim zalety kolorytu i umiejętne rozłożenie akcentów światłocienowych.

Zpośród całej t. zw. szkoły historycznej, działającej pod wpływem francuskiego malarstwa historycznego, właśnie w okresie powojennym — January Suchodolski na ogromną liczbę swych kompozycyj wojennych, pozostawił kilka scen z powstania listopadowego, między innymi „Rannego ulana” — obraz niezłe skomponowany, jakkolwiek dość szablonowy w ujęciu i w ekspresji. Inni artyści tej szkoły szukają przeważnie natchnienia w odległej przeszłości, w czasach Czarnieckich, Zborowskich, ostatecznie — w okresie napoleońskim. Czy powstanie jest im zbyt bliskie, czy może — zbyt dalekie?

Z wybitnych malarzy drugiej połowy XIX wieku — jak Brandt, Matejko, Rodakowski, Chelmoński — właściwie dwóch tylko interesuje się, niezbyt zresztą silnie, rokiem trzydziestym: Maksymiljan Gierymski i Juliusz Kossak. Gierymski ze zwykłym sobie umiarem ekspresji i dyskretnymi a pełnymi kultury środkami kolorystycznymi tworzy sceny wojskowe, marsze znużonych śmiertelnie żołnierzy, wlokące się konie;



January Suchodolski: „Ranny ułan”.

samotnych, we mgle, może na stracenie pędzących jeźdźców. Niema tam nic z patosu Grottgera, przeładowania i egzaltacji Matejki. Ale te drobne przeważnie rozmiarami obrazy żyją i mówią.

Największy malarz konia i ułana, Juljusz Koszak, nie mógł przejść obojętnie obok wypadków wojennych, które musiały stanowić najlepszy pokarm dla jego wyobraźni artystycznej. Istnieje szereg akwarel, w których we wspianym, jedynym w swoim rodzaju skrócie utrwalone zostały scenki batalistyczne i poszczególne sylwetki wojskowe lat trzydziestych. „Chłopi pod Grochowem” — to pierwsza wogóle większa kompozycja historyczna Koszaka. Ale w stosunku do ogromnej liczby scen wojennych, którą pozostawił ten genialny malarz, powstanie listopadowe reprezentuje niewielki procent. Syn Juljusza, Wojciech Koszak, namalował cały szereg obrazów, poświęconych powstaniu; między nimi najbardziej znane duże płótno „Bój o Olszynkę”. Koszak Wojciech jest jednym z nielicznych, żyjących

ruchu i akcji ludzi i rzeczy — tylko pojętych inaczej, ustawionych na innem nawarstwieniu, skąpanych w nowem świetle. Rzeczywistość zewnętrzna, ujrzana nanowo, przesublimowana, przestylizowana. Może próbkę nowego spojrzenia na świat stanowi obraz Eugenjusza Gepperta „Noc Listopadowa w Łazienkach 1830 r.” Współcześni ludzie, jakby zakłęci w starożytny fresk dekoracyjny. Czy to pierwsza jaskółka, czy tylko pojedyncza nieobowiązująca próba — niewiadomo. l. j.



Zbiórka Podchorążych na moście Sobieskiego w Łazienkach.



Pod Belwederem.

jeszcze malarzy, który w swych dziełach powraca jeszcze do owych bliskich, a przecież tak już odległych czasów. Batalistyka nie jest już dzisiaj wogóle „modna”. Od scen zbiorowych, od zawikłanego „dziania się” na płótnie przeszli malarze do milczącej psychiki jednostki, a potem — do bezosobowej, bezprzedmiotowej ekspresji nagich linii i płaszczyzn.

Dzisiaj daje się odczuwać już lekka reakcja, zdaje się znów budzić potrzeba

EPIZODY NOCY LISTOPADOWEJ
WEDŁUG RYSUNKÓW FELIKSA PIWARSKIEGO
RYTOWAŁ DIETRICH.
(ZE ZBIORÓW MUZEUM NARODOWEGO)
(Fotografował Jan Ryś)



Na Placu Zamkowym.

Z KSIĄŻEK

Gen. Ignacy Skarbek-Kruszewski: „Pamiętniki”. Wyd. Trzaska, Ewert i Michalski.

Pamiętniki gen. Ignacego Skarbek-Kruszewskiego, b. dowódcy 5-go pułku ułanów polskich, wydane poraz pierwszy w Krakowie w 1890 r. i wkrótce wyczerpane, stanowią ciekawą lekturę dla tych wszystkich, którzy lubią spojrzeć na fakty dziejowe wzrokiem naocznego świadka i uczestnika.

Kruszewski po upadku powstania, podobnie jak pięćdziesięciu kilku oficerów polskich, wstąpił na służbę belgijską, dowodząc dywizją lekkiej kawalerji w armji belgijskiej.

Mściwa dłoń cara Mikołaja dosięgnęła i tutaj dawnych „buntowników”. Oznajmił królowi belgijskiemu, że „póty nie przyśle swego posła do Brukseli, póki Polacy pozostaną w służbie belgijskiej, póki wojskowe krzyże polskie będą świeciły na jego dworze”.

Krzyże zasługi na piersiach żywych powstańców drażniły go niemniej, niż krzyże na mogiłach poległych. Po długich i upartych zabiegach carskich, król Leopold, zaniepokojony zaborcami projektami Francji i szukając oparcia w ugodowej polityce z Rosją, usunął oficerów polskich. Generał Kruszewski przetrwał na służbie belgijskiej najdłużej z nich, bo do 1852 r.

Pamiętniki jego odnoszą się nietylko do powstania listopadowego, ale i do dziejów niepodległości Belgji. S. P. G

Tokarz Wacław: „Wojna polsko-rosyjska 1850 — 1851 roku”. — Warszawa — 1930. Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy. Cena 25 zł. w broszurze oraz 35 zł. w oprawie płóciennej.

Profesor Uniwersytetu Warszawskiego Wacław Tokarz — autor szeregu cennych prac wojskowo-historycznych — wydał ostatnio niezwykle gruntowne i źródłowe studjum o powstaniu listopadowym p. t. „Wojna polsko-rosyjska 1850 — 1851, które stanowi wprost rewelację w dziedzinie naszego piśmiennictwa historycznego. Autor oparł się przy jego opracowaniu na istniejącej literaturze polskiej, niemieckiej i rosyjskiej oraz na bogatym materiale źródłowym, nie wyzyskanym przez dotychczasowych badaczy, gdyż znaczna część tego materiału jest dopiero od niedawna dostępna po rewindykowaniu go z Rosji sowieckiej. Źródła te prof. Tokarz bada, kontroluje i zestawia, odrzucając rzeczy nieścisłe i interpretując je nieraz odmiennie, niż dotychczasowa nauka.

Dzieło dzieli się na 4 części:

Cz. 1 zawiera wiadomości ogólne o siłach i środkach stron walczących, o wybuchu powstania i o mobilizacji sił i środków Królestwa.

Cz. 2-ga omawia pierwszy okres powstania, kiedy inicjatywa była po stronie rosyjskiej, to jest mniej więcej do wiosny 1851 roku.

Cz. 3-cia — to okres inicjatywy polskiej, aż do odwrotu armji polskiej do Pragi.

Cz. 4-ta — okres ponownej inicjatywy armji rosyjskiej, aż do upadku powstania.

Autor nietylko przedstawił gruntownie całokształt działań tej wojny, scharakteryzował wodzów naszych i nieprzyjacielskich, ale i opisał wszystko, co mogłoby lepiej oświetlić ten okres naszych zmagañ i dziejów, a zatem tło polityczne i gospo-

darze. Daje on dokładne omówienie obszaru i ludności Królestwa, stanu rolnictwa, handlu i przemysłu, jego budżetu, komunikacyj, aby w ten sposób czytelnik łatwiej mógł zorjentować się w stosunku sił obydwóch stron walczących. Zastanawiając się nad niewyzyskaniem przez nas w 1851 r. istniejących możliwości, dochodzi on do wniosku, że dużą winę ponoszą nietylko nasi ówczesni wodzowie, ale i sprawcy powstania, którzy nie potrafili niem pokierować.

Praca liczy 655 stron druku. Uzupełnia ją skorowidz nazwisk, oraz obszerny atlas szkiców.

Dr. Lofja Krzemicka: „Powstanie Listopadowe”. Przedmową opatrzył Ludwik Finkel. Lwów. Nakładem „Macierzy Polskiej”. 1930.

Wśród licznych wydawnictw jubileuszowych, omawiających listopadowy czyn powstańczy, zwraca uwagę książka pani Krzemickiej. Mimo intencji rocznicowej i mimo tonu popularnego, „Powstanie Listopadowe” p. Krzemickiej odznacza się dużą kulturą literacką, a przede wszystkim sumiennością historyczną. Autorka w żywym zobrazowaniu dziejów powstania starała się zarówno o efekt uczuciowy, jak i o wydobycie prawdy faktycznej. We wstępie słusznie zaznacza autorka, że powstanie listopadowe jest „tylko jednym z etapów półtora wieku trwającej wojny narodu polskiego o niepodległość” i tak też należy ujmować znaczenie i wartość tej wojny.

Książkę poprzedza przedmowa znakomitego, a niedawno zmarłego profesora Ludwika Finkla, który w krótkich i wymownych słowach oddaje hołd wojsku polskiemu, jako tej „świętej kohorcie”, urosłej już do rozmiarów legendy i symbolu naszej żywotności i wytrwałości.

Piękne ilustracje zdobią to dziełko, wydane starannie przez zasłużoną na polu oświaty „Macierz Polską”. Książka Krzemickiej spełni doskonale swoją misję spopularyzowania wielkiego faktu dziejowego, dokonanego przed stu laty. H. N.

Janina Znamirowska: „Liryka powstania listopadowego”. Wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego. Warszawa — 1930 rok.

Powstanie listopadowe, jak każdy żywy odruch w narodzie lub społeczeństwie, bardzo silnie odbiło się w ówczesnej poezji, tworząc przez to pewien prawie że odrębny rodzaj, zwany liryką listopadową. Jest to twórczość bogata, różnorodna i żywa; to też w pracy, dążącej do syntezy, na pierwszy plan wysuwa się metoda. Pani Znamirowska obrała metodę starą i szanowaną: metodę Dibeliusa — i to właśnie należy wysunąć, jako zarzut. Trzymając się jej — autorka rozdrobniła materiał na cząsteczki i opracowała każdą z nich szczegółowo i dokładnie, nie zdołała jednak wyciągnąć wniosków ważnych dla całości, nie pogłębiła tematu i nie powiązała poszczególnych motywów. Na pracy znać dokładność i precyzję wykonania oraz duże czytanie autorki, ale właśnie nieodpowiednio dobraną metodą zepsuła całość, sprowadzając ją do dobrze opracowanych przy-czynków. Z. M.



WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartainie — 17 zł. 40 gr. rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz”, Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

R O C Z N I C A

*Ponura noc listopadowa,
Jak na sztychu, widać plac Saski.
Wichrowym tchem, młodzieńczym krzykiem
z szczytu po szczyt wezwanie dzwoni:
do broni, do broni, do broni!*

*Sto lat. Zawiera się, zasuma.
W posągu śpi skrzydlata Nike
z pod Radzimina i Grochorwa.
Wolność gorącym płonie blaskiem.
Nieznany Żołnierz wiernie czuwa.*

*I nie tchem wichru, ogniem racy,
lecz twórczym czynem, nieprzerwanie,
z dolin po szczyt dzwoni wezwanie:
do pracy, do pracy, do pracy!*

M. CZERKAWSKA

Refleksje aktualne. Rok 1831 a 1914.

Gdy przerzucam karty historii powstania listopadowego, pali mię wstyd za niedołęstwo wodzów, oburza i denerwuje w najwyższym stopniu ugodo-wość dyplomacji i kunktatorstwo.

Zewsząd uderza jedno: rozpaczliwy, zabójczy brak wodza.

Powstanie liczyło tysiące ludzi, dzielnych, odważnych, pełnych zapału, męstwa, bezgranicznej ofiarności, bohaterstwa. Ale brak było jednego człowieka.

Człowieka, któryby wraz ze zdolnościami strategicznymi Prądzyńskiego, z wiarą w zwycięstwo Dwernickiego, z męstwem Bema, z przenikliwością Lubeckiego łączył szybkość decyzji, energję czynu, sprężystość i umiejętność wyzyskania sytuacji.

Ale człowieka takiego nie było.

Powstanie upadło.

Nie pomogły wysiłki pojedynczych dowódców, męstwo żołnierzy, zapał ludu, wyjątkowe warunki, w jakich się Polska wówczas znajdowała, jak posiadanie regularnego wojska i sprzętu wojennego. Powstanie upadło przez dyplomację rządu tymczasowego i dyktatora Chłopickiego, przez reakcjonizm ks. Czartoryskiego, przez kunktatorstwo Skrzyneckiego.

„Godzina zemsty już wybiła!” wołał Wysocki, wiodąc swych podchorążych na Belweder w dniu 29 listopada 31 r. „Do broni, bracia, ojczyzna was wzywa!” tym okrzykiem gromadził Bronikowski ludowe oddziały z czeladzi rzemieślniczej i ubogiej ludności Powiśla, zarówno mężczyzn, jak i kobiet.

„Lud wiejski na imię ojczyzny z rozrzewniającym zapalem śpieszył z kosami, żelazem rolniczym, na wojenne zamienionem”, świadczył, przeciwny ruchowi rewolucyjnemu Andrzej Koźmian i „rękami czarnymi od pluga”, pod wodzą Dwernickiego zbił oddział Geismara pod Stoczkiem, stawał mężnie w walkach z moskalami.

Stronnictwo rewolucyjne pisało w „Nowej Polsce” dnia 6 stycznia: „Albo nam i Europie wolność, a upadek Mikołajowi, albo upadek naszej i europejskiej wolności, a przewaga samowładztwu, reprezentowanemu przez cara Mikołaja. Niema innego wyboru, a więc niema układów, a więc jest konieczność jawnego, śmiałego działania naszej rewolucji”.

Ale gdy lud się bił, dyplomacja wchodziła w układy z Wielkim ks. Konstantym, wysyłała pokornie delegację do Petersburga i nie mogła się zdecydować na wkroczenie na Litwę, co, czyniąc wojnę zaczepną, stworzyłoby odrazu korzystniejsze warunki. Daremnie wybuchłe powstanie na Litwie głosiło: „wolność całemu wogóle ludowi”, a Emilja Platerówna, stanawszy na czele powstania jeziorskiego, najbliższego od Dyneburga, ogłosiła w Dusiatkach, że rozpoczyna walkę o „wolność”.

Daremnie Mochnacki w swych pięknych, głęboko przemyślanych artykułach dziennikarskich przestrzegał przed polityką dyplomatyczną. „Nie gabinety, lecz ludy są naszymi sprzymierzeńcami. Nie konający porządek rzeczy w Europie sprzyja naszemu powstaniu, ale nowy, mający świetnością swoją, rewolucyjny i straszny, jak to wszystko, co jeszcze nie jest, a czego z niecierpliwością oczekują ludy”.

Daremny był rewolucyjny nastrój Warszawy, daremnie „żołnierze szeregowi i niższych stopni męstwem zasłużyli się ojczyźnie”; daremnie zginął w rozpaczliwej, bohaterskiej obronie Woli gen. Józef Sowiński; daremną była dzielna partyzantka Samuela Różyckiego.

Powstanie upadło, z braku wodza.

Historja się powtarza. Ostatnie nasze walki o niepodległość w latach 1914—1920 nasuwają wiele analogji z rokiem 1831-ym.

Ten sam reakcjonizm i ugodowość, ta sama dyplomacja, oparcie się o Rosję, delegacje do Petersburga; to samo liczenie na pomoc obcą, ta sama niewiara we własne siły i własny czyn orężny.

Analogji wiele, a jednak zwyciężyliśmy!

Wielka wojna z Rosją została wygrana. Zdobyliśmy niepodległość, mimo braku regularnego, wyćwiczonego wojska i sprzętu wojennego, który był w 31-ym roku. Zwyciężyliśmy, bo mieliśmy Wodza. Ten jeden, jedyny atut, którego brakło powstaniu 1831 roku, przeważył szalę naszego zwycięstwa.

J. Korulska — Grodno

Musimy się oduczyć.

Cały szereg naszych powstań, bo upadała Polska, ale nie odpadła nigdy duszy narodu myśl o jej zmartwychwstaniu, zakończył się klęską. Nawet wtedy,

gdy, czasu wojen Napoleona, nietylko błyskała, ale i realizowała się choć ułamkowo nadzieja odrodzenia, jutrznie te zaraz gasły.

Z tej gehenny nadaremnych szarpań się i traconych nadziei w czasie niewoli, pozostał nam, wśród bardzo zresztą wielu i nader różnorodnych, jeden zły nawyk psychiczny: nawyk spodziewania się klęsk. Tego powinniśmy conajrychlej się oduczyć, szkodzi to bowiem naszemu wewnętrznemu rozwojowi narodowemu i sprowadza u słabszych osobników zgoła niepożądaną depresję, teraz, kiedy trzeba nam właśnie wyczerzyć wszystkie siły.

A oto polacy, ci sami, którzy w najgorsze czasy nie utracili przecież wiary, że Polska zmartwychwstać musi, że „nie zginęła, póki my żyjemy”; teraz małodusznie frasują się, czy aby nie zginie, czy ją aby nie przywała jakie nowe kataklizmy i klęski. Poprostu tyleśmy przeżyli tragizmu w dziejach ostatniego stulecia, że nastroiły się nam dusze minorowo i nie umiemy tego nastroju się wyzbyć.

Naród nasz dokonał istotnego cudu wyzwolenia i obrony. Z szeregu powstań dokonało się nakoniec powstanie wolnej i zjednoczonej ojczyzny; mamy dziś, czego nie było od wieku: Wychowawcę, Wodza narodu, który wśród wojny umiał wykrzesać z pośród rodaków legjony bohaterów, a wśród pokoju skrzętnych współbudowniczych; możemy i powinniśmy oddać się pracy twórczej ze spokojem i z niezachwianą wiarą w przyszłość. Z radością także, bo żadne trudności, kryzysy, powikłania nie mogą nam zasłonić tego faktu zasadniczego, zalewającego beźmiernem szczęściem każde rzetelnie polskie serce, że sny szeregu pokoleń, rodzących się i kładących do grobu w kajdanach, dziś nam, wybrańcom losu, się ziściły: jesteśmy, nakoniec, narodem wolnym i potężnym.

Nawet rozpamiętywania wielkich porywów; ciężkich zmagañ się i klęsk okrutnych, podkreślić tylko mogą swym czarnym cieniem jasną słoneczność dnia wolności.

Cześć tym pokoleniom bohaterów, którzy polegli przed wschodem tego słońca! dziedzicami ich krwawej pracy my jesteśmy, naszym będnem zadaniem niezmiarnowanie tego dziedzictwa, wykorzystanie skarbów nabytego doświadczenia.

Błuzniłby narodowi swojemu, ktoby dziś twierdził, że my nie potrafimy. *M. Benisławska*

Kobieta wobec zagadnień politycznych.

Istnieje bardzo rozpowszechnione, a niestety słuszne mniemanie, iż kobiety wcale, albo bardzo mało interesują się polityką, a ignorancję tę doprowadzają do tego stopnia, że nie wiedzą częstokroć o najważniejszych wypadkach, zaszłych w kraju, lub zagranicą.

Gdy mężczyzna, przeciętny inteligent, codziennie czyta gazetę, gdy nawet robotnik i chłop na wsi znajdują czas na przejrzenie dzienników i interesują się tem, co się na świecie dzieje, szeroki ogół kobiet, aczkolwiek przeciętnie czyta więcej od mężczyzn, wciąż jeszcze stroni od gazet, bądź też lekturę ich ogranicza do feljetonów literackich, kroniki miejscowej, no i wszelkiego rodzaju ogłoszeń, nie wyłączając i matrymonjalnych.

Ze wstydem wyznam, iż znam szereg pań z wyższym wykształceniem, pracujących zawodowo i naukowo, które całymi tygodniami pism co rąk nie biorą, tłumacząc to brakiem czasu i zainteresowań politycznych, bądź też partyjnością naszych pism, „działającą im na nerwy”.

Często słyszę takie zdanie:

„Co mi po tej bibule redakcyjnej? same właśnie partyjne! Doprawdy, szkoda czasu na czytanie, a jeżeli zajdzie naprawdę coś ważnego, to i tak się do-wiem”.

A tymczasem niemal dzień każdy przynosi ważne wypadki, a nasze panie, chociażby chciały mieć o nich jakieś pojęcie, nie czytując stale, nie mogą zorientować się w depeuszach i artykułach politycznych. Ten wstręt do polityki nie jest właściwością jedynie starszego pokolenia kobiet: przenosi się i na młodszą generację. Jako nauczycielka historii, którą to naukę słusznie nazwano „polityką przeszłości”, mogłabym przytoczyć liczne przykłady. Gdy chłopcy, począwszy od 14-go roku życia, żywo interesują się zdarzeniami w kraju i zagranicą, czytują i zadają szereg pytań, dotyczących się układu stosunków światowych, dziewczęta dopiero w klasie ostatniej, przy nauce o Polsce współczesnej, zabierają się do czytania pism, lekturę tę traktują jednak, jako niemylą i ciężki obowiązek, a po zdaniu matury, zarzucają ją jaknajprędzej.

Czyżby ten brak zainteresowań sprawami ogólnymi wynikał z braku zmysłu politycznego u kobiet? Bynajmniej! zarówno historia, jak i życie wykazują coś wręcz odmiennego.

Kobiety od najdawniejszych czasów brały wybitny udział w życiu politycznym. Niektóre z nich, rządząc państwem, inne zaś, trzymając w swych rękach arkana polityki zakulisowej trzęsły losami świata. Imiona ich przeszły do potomności, a dyplomatyczne zdolności kobiet stały się niemal przysłowio-we.

Zaobserwować też można, że kobiety, biorące bezpośredni udział w życiu publicznym, wnoszą do polityki żywą intuicję, szczery entuzjazm i wiele zręczności; biorą gorący udział w walce wyborczej, propagandzie agitacyjnej i t. p.

Obojętność szerokiego ogółu kobiet dla zagadnień politycznych widzę w czem innym: w subiektywności charakteru i jednostronności inteligencji płci żeńskiej.

Kobietę zazwyczaj mało obchodzi świat abstrakcyjny. Oddając się z całym zapalem swej pracy domowej, czy zawodowej, społecznej, czy naukowej, niechętnie znajduje czas i miejsce dla innych zainteresowań, zwłaszcza, jeżeli te zainteresowania stoją poza nawiasem jej osoby, domu, otoczenia i jeżeli w nich nie odgrywa roli jej miłość własna.

Z takim stanem rzeczy należałoby już raz zerwać.

Człowiek kulturalny i inteligentny, obywatel, czy obywatelka, ma pewne obowiązki w zakresie czytelnictwa tak, jak w każdym innym. Prasa porusza wszystkie zagadnienia życiowe, daje obraz i oświe-tlenie ważnych zdarzeń aktualnych w kraju i zagranicą, których nieznamość wyradza ciasny światopogląd i odbija się ujemnie na intelekcie kobiet.

Wykształcenie polityczne w epoce, którą przeżywamy, jest czynnikiem niezmiernie wagi, pozostawianie odłogiem tej dziedziny stwarza specjalnie niekorzystne warunki dla walki o prawa kobiety.

W Polsce kobiety przewyższają swą liczebnością mężczyzn, współpracują z nimi na wszystkich terenach, cieszą się teoretycznie zupełnem równouprawnieniem, a jednak jak znikomy procent ich zasiada na ławach sejmowych, jak niewiele z nich osiąga wyższe stanowiska służbowe!

Winien temu w znacznej mierze brak uświado-mienia i zainteresowań politycznych ogółu kobiet.

A więc, precz z analfabetyzmem politycznym! Starajmy się nadążyć za tysiącami zjawiskami, które życie niesie codziennie, wyrabiamy sobie własny sąd o nich. *A. Hlasko-Parolicowa*